

# TYGODNIK ILLUSTROWANY

Z KONFERENCYI POKOJOWEJ W HADZE.



SALA ORANSKA W PAŁACU „HUIS TEN BOSCH.“

## L A T O R O Ś L E.

Obrazek Wacława Sieroszewskiego, ilustracje Konstantego Górskiego.

4)



**P**odczas gdy Piotruś silił się zamek otworzyć, Mieczysław blady, wystraszony, siedział na dnie łódki i patrzył, jak brat starszy w zamek napróżno stukał, gwoździł w dziurkę od klucza wsuwał. Chciał nawet skobel oderwać, ale łódź, gwałtownie pchnięta, naciągnęła łańcuch, a kłódka otworzyła się sama. Kołysząc się łagodnie, wypłynęli z zielonej pieczary na słońce. Chyży prąd porwał ich natychmiast i uniósł na środek rzeki.

— Wiosło... wiosło... zakładaj na miejsce wiosła!.. — krzyczał Piotruś.

Mieczysław schwycił ciężką łopatę i podniósł ją w górę, ale pod ciężarem jej zachwiał się i potoczył do burty; o mało nie wpadł do wody. Wówczas Piotruś kazał mu zachować się spokojnie, sam wiosło założył i łódź z wielkim trudem zwrócił we właściwym kierunku. Ale z wiosłowaniem poradzić sobie nie umiał; łopaty za głęboko w wodę pogrążał, łódź zwolna posuwała się naprzód.

Mieczysław siedział, jak skamieniały. Stopniowo jednak się ośmielał.

— Mój Boże, jak to już daleko jesteśmy od brzegu, a wokół, jak okiem rzucić, tak jasno, i woda pluska. Słyszysz, jak ona pod deskami szeleści i łódź naszą łaskocze?... Sądzę, że od tego można dostać morskiej choroby.

— Głupiś, siedź cicho! Nie szanuję cię, przekonałem się, że jesteś tchórz! Jaka tam morska choroba na rzece! Lepiej zaczerpnij wody czapką i daj mi się napić, gdyż wiosła wypuścić nie mogę, rozumiesz przecie?

— Rozumiem... doskonale rozumiem!

— Tylko nie przechyl łódki i nie wpadnij do wody. Wiesz co: przesunij się na sam dziób, tam łódź zawsze mniej się kołysze!

Mieczysław ostrożnie powędrował na kolanach na wskazane miejsce, dostał wody, zaniósł bratu i sam się napił.

Tak mu się podobało w dziobie statku u burty, że już tam pozostał. Zwiesił rączkę nad wodą i bawił się, bryzgając dokoła perłowe, mieniające się krople.

— Piotrusiu, ja cię kocham okropnie!.. Tu wszystko takie ładne... Patrz: ryba! naprawdę ryba z ogonem... — wołał co chwila z zachwytem.

Piotruś rzucił wiosła i wytarł spocnięte czoło. Nęciło go zobaczyć rybę, ale czuł jednocześnie, że nie mógł zostawić „samopasa“ statku. Najmniejsze niedbalstwo mogło spowodować rozbicie. Więc obejrzał się tylko za siebie na przeciwny brzeg, gdzie na stoku wzgórz wśród zieleni parku białiał ich dom. Jaki on teraz był inny! a jaki śliczny! U samej wody siedział Cezar i żałośnie poszczekiwał, wstrząsając długimi uszami.

— Szkoda, żeśmy go nie zabrali. Byłby nam się przydał na polowaniu.

Stało się. Wracać już było za daleko. Błyszcząca, lazururowa szyba pochłaniała ich jak przepaść. Drobnie żyłeczki prądu i migotliwa łuska płytkich fal ogarniały ich ze wszech stron.

Łódź kołysała się ruchem miarowym, jak swobodnie puszczona huśtawka. Zielone brzegi uciekały w dal. Górą białe chmury karawaną dążyły ku słońcu. Między dwoma przestankami błękitów ukazała się nagle upragniona wyspa tajemnicza i chyżo zbliżała się ku nim po ślizkiej kryształowej toni. Można już było rozpoznać pojedyncze drzewa jej lasu, ogniste pnie i konary niebieskawych sosen, blade kolumny brzoź z żółtawymi liśćmi i brunatnymi wiciami gałązek, ciemne, kędzierzawe kopuły olszyn. Bliżej, u samej wody, kołysane wiatrem, chwiały się smukłe, pozłociste i jak trzcina drżące zarośla. Miały listki kiściaste, podługne i popielate.

— Patrz, Mieczysław: napewno „rokita!“

— Więc to jest rokita?! Jaka cudna!

„Rokito, rokito, co ci oczko podbito!..“

— zaśpiewał Mieczysław i dygnął jej tak ładnie, że o mało łódki nie wywrócił.

— Ostrożnie, niezgrabijasz! Rozbijesz statek! Cała sztuka w tem

teraz, żeby wylądować. Będę wiosłował, kierował, a ty łap i skacz na brzeg z łańcuchem.

— Co łap?

— Co się da.

— Doprawdy, jesteś dziwak. Mam łapać, kiedy nie wiem co.

— A więc dobrze! Daj mi pokój!..

Piotruś zaczął manewrować łodzią, uderzając to jednym wiosłem, to drugim; nagle silne wstrząśnienie zachwiało statkiem.

Mieczysław upadł na dno jak długi, Piotruś zleciał w tył z ławki.

— Co się stało? Pewnie skała podwodna!

Starszy chłopiec podniósł się, ale natychmiast przysiadł i oczy dłonią zasłonił. Uczuł w nich silny ból od słonecznego blasku, wydawało mu się, że pędzą z szaloną szybkością, gdy tymczasem stali na miejscu, a tylko wartki prąd kłębił się i z pianą przewalał mimo łodzi.

— Ławica! — zawołał znacząco Piotruś. — Siedliśmy na mieliznie.

— A co!? A ty mówiłeś: łapaj! Co tu łapać, kiedy jeszcze nie ma prócz nieba i wody.

— To nie, tu płytko!

— Więc co? Mówisz zagadki, a tu przecie i o moje chodzi uratowanie.

— Uratowanie!? Nic a nic nie rozumiem. Mielizna nie jest rozbiciem okrętu. Wyspa już blisko, możemy się uratować, zbudowawszy tratwę z ławek i wiosła.

— Doskonale.

— Wcale nie. Naprzód spróbujemy łódkę zepchnąć z mielizny; tak wszyscy robią. Siedź i pilnuj rudla, a ja zdejmę buty.

— I ja zdejmę buty.

— Zdejm, a tylko uważaj i łap za co się da, gdy się zbliżymy do wyspy.

Wody miał po kolana; była ciepła, czysta, a płynęła tak wartko, że muł, poruszony na dnie, uciekał z pod stóp, jak kłębuszki dymu, unoszone wiatrem. Piotruś miał wielką ochotę zatrzymać się dłużej w tem miejscu. Zaledwo jednak dotknął łodzi, gdy porwana prądem, popłynęła dalej. Mieczysław, rzuciwszy rudel, musiał go wciągać do łódki. Gdy wreszcie znaleźli się na miejscu, ogarnął ich nagle cień, zaszeleściły gałęzie, a dziób łodzi znowu o coś potracił, przy czym czapka Mieczysława upadła na dno.

— Trzymaj... łapaj!..

Dzieci wyciągnęły ręce, ale wszystko uciekało im z pod palców.

Prąd omijał wyspę, zaczerniało ostatnie, wysokie podmywisko, z pochyloną nad wodą garbatą wierzbą, w głębi zaiskrzył się od słońca obszar otwartej rzeki. Piotruś stanął na przodzie łodzi, zebrał siły i wpił się palcami w zielone warkocze starej czarownicy.

Pęd rzucił go na dno, ale chłopak wierzby nie puścił, łódka pochyliła się, fale zawrzały u burty i przycisnęły statek do samego brzegu. Mieczysław pomógł bratu zaczepić łańcuch o pień wierzby, poczem klapnął ją po zmurszałym garbie i zawołał:

— Pocziwa!

## IV.

Przedarłszy się przez łożinę, stanęli na krawędzi „prawdziwego“ lasu. Wysokie sosny kiwały im przyjaźnie głowami; łączka, wysłana kwieciami, nęciła do skoków. Nad trawami unosiły się roje bąków; muszek, motyli, drażniąc zuchwałym brzęczeniem; po płaskich liściach wędrowały żuczki, oraz inne stworzenia, warte bliższego poznania; pod nogami był mech aksamitny, siwy i zielony, wrzos liliowy, całe polećka dojrzalej czernicy, dojrzewających borówek i kraśnych, jak paciorki koralu, „mącznicy.“ Na ustroniu, w wielkich karmazynowych kapeluszach stały śliczne „muchomory,“ roily się wełnianki-oszustki, takie podobne do rydzów, drzemały brzydkie, ale smaczne koźluki, maślacze, czekały zmiłowania syrojeżki, skromne grzybki „tak sobie,“ których nikt nie jada.

Przypuszczać nawet można, że były wilcze jagody, ponętnie wy-

glądająca, lecz straszna trucizna, w kształcie paszczy rozwartej z amarantową pestką i wiśniowem oskrzydłem, do której w obecności starszych nawet się zbliżyć nie wolno. Wszystko mieniło się od barw i złotych centek przedzierającego się przez gałęzie słońca. A tymczasem nie podobna było się zatrzymać, trzeba było iść dalej z zamkniętymi oczyma w głąb ciemnego jak piwnica boru, bo tak było umówione. Piotruś, zmarszczywszy się poważnie, kroczył pierwszy z łukiem w rękę i rozchyłał leszczynę. Mieczys dreptał za nim, szeroko otworzywszy buzię i oczy. Nagle, tuż przed nimi, duży, czarny dzięcioł z purpurową głową przeleciał cicho jak nietoperz.

— Poluj!—szepnął Mieczys.

Lecz na polowanie było jeszcze za wcześnie, nie dosyć zagłębili się w puszcze.

— Co będzie potem, jeżeli teraz stracę wszystkie moje strzały?

Brnęli więc dalej wśród wrzosów i paproci z oczyma utkwionymi w drzewa. Wtem, tuż blisko, prawie że nad uchem, coś zaskrzeczało tak przejmująco, że Mieczys chwycił brata za rękę. Zatrzymali się i zaczęli obaj nadsluchiwać. Ale hałas się nie powtórzył.

— Nikogo nie widać! Może to rusalka?...—bąknął Mieczys.

— Cicho!.. gadasz nie wiedzieć co! A później pomyślisz, że i ja się boję... A co? słyszałeś?

Na jednej z sosen zaszeleściło lekko, i posypały się cieniuchne łuski czerwonej kory.

— Wiewiórka!—radośnie wykrzyknął Mieczys.

Piotruś naciągnął łuk i strzałę wypuścił. Zwierzątko uciekło, a pocisk utknął wysoko w pniu drzewa. Daremnie rzucali patykami, ażeby go stamtąd strącić: nie spadł; na drzewo z powodu jego grubości nie można było się wdrapać, chyba „po amerykańsku“, wyrabując stopnie, ale ponieważ trzeba było się śpieszyć, więc odłożyli to na potem. Należało myśleć o założeniu obozowiska, a więc przedewszystkiem o wynalezieniu jakiegoś strumienia. Obozowanie nad wielką rzeką nie nęciło ich: mieli tego już dosyć, wszak mieszkali nad rzeką. Pod krzakami leszczyny, wśród małych chojaczków i paproci, snuło się wiele drózek, ale wszystkie ginęły we mchu i wrzosie.

— Temi drózkami chodzą do wody dzikie zwierzęta, możnaby więc dotrzeć tędy do jakiego potoku, a może nawet wodospadu... — zauważył poważnie Piotruś, badając kompas i pnie drzew, jak to radzą podróżni.

Nic mu one nie powiedziały, ale się z tem bratu nie zwierzył, nie chcąc go niepokoić. Byli na wyspie, więc w jakimkolwiek udaliby się kierunku, trafić do celu musieli, a zabłądzić nie mogli, bo



Piotruś stanął na przodzie łodzi...

nie mieli jeszcze domu. Mieczys, zajęty zbieraniem jagód, nie zauważył kłopotu brata. Nagle przykucnął i zaczął dawać rozpaczliwe znaki.

— Co takiego?

— Zając.

— Gdzie?

— O tam... na dróźnie... stoi słupka, ma długie uszy i wąsy...

(D. c. n)

## 3 tygodnia na tydzień.

Sezon wiosenny wyścigów konnych przebył już swój punkt kulminacyjny. W niedzielę ubiegłą rozegrano nagrodę „najklasyczeńszą“ i największą pieniężnie—warszawskie „derby“, a stało się to przy gorącej temperaturze hazardu, pomimo chłodu i słoty, którą mają tegoroczny wytrwale nas raczy.

Psychologia tłumu znajduje tu znamioną ilustrację.

Jest pewna kategoria publiczności, która niejako zawodowo uprawia emocje totalizatorowe; ale jest też duży zastęp przyzwoitych zwolenników tego kultu, którzy tylko w dniach wyjątkowo „ważnych“ śpieszą na pole Mokotowskie. Dla tych dzień *derby* posiada energiczną siłę pociągającą. Tysiące śpieszą wtedy na tor, ale myliłby się, kto by sądził, że pociąga je żądza wrażeń sportowych. Nie—imponuje im tylko wysoka suma nagrody. Tym widzom zdaje się, że uczestniczą sami w jakiejś wielkiej akcji, doznają nerwowego wzruszenia, jakby sami ubiegali się o te 20 tysięcy rubli, o których posiadaniu decyduje koń, wyprzedzający inne konie w gonitwie, trwającej niespełna 3 minuty!

W znacznej mierze zjawisko to jest powszechne, międzynarodowe, jeśli powiedzieć tak można. Każdy tłum ciekawy jest wszelkiej nadzwyczajności i rad emocjonuje się, chociażby pośred-

nio, a przecież na własny koszt kieszeni i zdrowia. Można wszelako zaznaczyć tu przyczynowy związek faktów, bardzo pouczający: mianowicie większe nagrody wyścigowe potęgują namiętności mas, a źródłem podwyższenia nagród jest podrożenie stawek w totalizatorze, które miało niby położyć tamę do udziału w grze ludziom niezamożnym, a które w praktyce wzmocniło niesłychanie obroty gry i dało towarzystwu środki dalszego potęgowania demoralizacji publicznej.

Pokazuje się tu raz jeszcze, że w sprawach, dotyczących złych instynktów natury ludzkiej, wszelkie ograniczenia, półśrodki i kompromisy nie prowadzą do celu. Osiąga go jedynie radykalne usunięcie samej przyczyny źródłowej, jak w danym wypadku: zniesienie gry.

Niema nadziei, żeby to żądanie miało jakies widoki uwzględnienia, niemniej przeto powinnością jest opinii publicznej powtarzać swoje upomnienie, bez względu na skutek doraźny.

—

*Odczyty ludowe o alkoholizmie.* Z obliczeń, czerpanych ze sprawozdań urzędowych, przekonujemy się, że niesłusznie obdarzają nas mianem wielkich pijaków. Przeciwnie.

Najwięcej alkoholu zużywają Holendrzy, Angli i Francuzi...

My jesteśmy prawie na ostatnim miejscu.

Porównywając spożycie alkoholu w całym Państwie, okazuje się, że na pierwszym miejscu stoi gubernia Petersburska, następnie Moskiewska i środkowe gubernie przemysłowe, a dopiero po nich idzie gubernia Warszawska, najwięcej z całego Królestwa Polskiego wódki zużywająca.

Porównywając cyfry z roku 1882, a następnie obliczenia urzędowe z 1894 roku, widzimy, że spożycie spirytusu w Królestwie nie zwiększa się, lecz maleje.

Jest to dowód, że alkoholizm, będący plagą społeczną, nie nęka nas tak silnie, jak inne narody obu półkuli.

Nie należy jednak sądzić, aby walka z nim i wyplenianie wśród niższych warstw ludności nałogu nadużywania trunków była niepotrzebna.

Owszem, starać się wszelkimi sposobami potrzeba, przestrzegać i wykazywać zgubne skutki nadużyciu alkoholu.

Zamierzone w tym celu popularne odczyty ludowe, ilustrowane obrazami niknącymi, bez wątpienia przyniosą korzyść, ostrzegając nieświadomych o zgubnych skutkach alkoholizmu.

W dzisiejszym numerze *Tygodnika* dajemy

rysunek Jana Holewińskiego, przedstawiający jeden z odczytów o ospie, wygłoszony zeszłego tygodnia w browarze Machlejda.

Pierwsze próby takich pogadanek, o szczepieniu ospy, wypadły pomyślnie; sądzimy, że i dalsze odczyty ludowe cieszyć się będą powodzeniem na jakie zasługują.

\*

*Institut higieny dziecięcej barona Lenvala.*  
Na ostatnim posiedzeniu wydziału higieny wychowawczej, d-r Szumlański przedstawił referat, dotyczący rokowań w sprawie założenia instytucji, w tytule powyższym wymienionej.

Baron Lenval zakreślił dla niej program szeroki, włączając do niego prócz spraw higienicznych i nauki, zaszczepiającej w szerokie warstwy społeczne zamiłowania porządku i pojęć zdrowotnych, także i poliklinikę dla chorób dzieci. Plan ten musiał uleść pewnym zmianom, na które w zasadzie zgodził się projektodawca.

Powołana komisja ma ostatecznie rozstrzygnąć sprawę, zając się gromadzeniem funduszy i w życie projekt wprowadzić.

Przybędzie więc Warszawie instytucja wielce pożyteczna, a Towarzystwo higieniczne, które stanie się jej właścicielem i kierownikiem, bez wątpienia dołoży wszelkich starań, aby instytut higieny dziecięcej odpowiedział swemu zadaniu.

\*

#### *Upominek z Watykanu.*

Dyrektor Z. Noskowski miał szczęście wręczenia Jego Świętobliwości Ojcu św. swej kompozycji, a mianowicie ośmiogłosowego „Veni Creator.“ Ojciec św. raczył przyjąć wzmiankowaną kompozycję i polecił wyrazić kompozytorowi swe podziękowanie. J. E. kardynał sekretarz Rampolla przesłał w tych dniach przez J. E. ministra pełnomocnika rosyjskiego przy Watykanie medal jubileuszowy Ojca św. razem z uprzejmym listem. List ten przytaczamy poniżej w przekładzie:

„Panie!

Ojciec św., który zawsze zachował miłe wspomnienie hołdu, jakiś Pan chciał mu wyrazić przez ofiarowanie swych kompozycji muzycznych, polecił mi przesłać Panu medal srebrny, będący wyrazem Jego życzliwości, oraz świadectwem uznania dla wysokiego stanowiska, jakie dzięki swemu talentowi zajął Pan wśród mistrzów wzniosłej sztuki muzycznej. Z największą przyjemnością spełniam to zaszczytne zlecenie za uprzejmem pośrednictwem J. E. p. ministra rosyjskiego przy Stolicy Apostolskiej, przy czem korzystam ze sposobności, aby zapewnić Go o swym szacunku.

Kard. Rampolla.“



Podobizna medalu ofiarowanego Z. Noskowskiemu.

Medal, zawarty w ozdobnym pudełku, waży około funta i ma średnicy 5 cali. Na jednej stro-

nie ozdobiony jest portretem Leona XIII z napisem w otoku:

Leon XIII. Pont. Max. An. X.  
Na drugiej stronie znajdujemy napis:  
Leon XIII  
Annum L. Sacerdotii Sui  
In Summa Orbis Catholici Laetitia  
Fauste Feliciter Expleti  
Collegium Cardinalium  
Obsequi et gratulationis Causa  
Principi Optimo  
Antistiti Sacrorum Maximo  
MDCCLXXXVII.

\*



*Wieczór literacki.*  
Piękna winietka rysunku p. Sawiczewskiego, zdobiąca nagłówek programu, symbolizowała wymownie cel, na jaki komisja dochodów niestałych kasy literackiej urządziła wieczór w sali resursy Kupieckiej.

Kobieta, trzymająca w jednej ręce zwój papieru i pióro, rzuca drugą monetą do skarbonki—to literatura, zasilająca własny skarbiec.

Nie wiem, czy rysownik, robiąc literaturę „bosą“ szedł tylko za tradycjami malarstwa klasycznego, czy też chciał uzmysłowić przysłowie o „literatach bez butów“, przysłowie, które dzięki kasie literackiej ma przejść do krainy mitów. Daj Boże, co prędzej!

Wieczór literacki jest pierwszym krokiem na drodze do zbierania funduszy sposobem dozwo-  
lonym przez ustawę.

Pomijając materialny rezultat zabawy, który zapewne przedstawia się nie najgorzej, przynajmniej należy, że wieczór powiódł się zupełnie dobrze. Publiczność wysłuchała z zajęciem rzeczy, napisanych *ad hoc* przez autorów znanych i popularnych.

Pierwszy wstąpił na katedrę Adam Pług i odczytał piękny wiersz o Matce, pragnącej wybłągać u Śmierci życie swego dziecięcia.

Potem p. Frenkiel, wyręczając autora, zapoznał słuchaczy ze wzruszającą historią lekarza-sceptyka, który wznosi się na wyższy szczebel doskonałości moralnej, ratując wnuka swego zawziętego wroga, w imię wzniosłej zasady, że „należy czynić dobrze tym, którzy nas nienawidzą.“

Jak łatwo odgadnąć z tematu, autorem tej noweli jest Prus, który nie pomija żadnej sposobności, żeby ludziom przypomnieć o tem, iż miłość bliźniego jest najwyższą i najszlachetniejszą potęgą świata społecznego.

Ponieważ zaś autor „Faraona“ wszystkie swoje pomysły ubiera w prawdziwie artystyczną szatę, nie dziwnego więc, że „Widzenia“ wysłuchano nietylko ze wzruszeniem, lecz i z rozkoszą.

Odzywały się wprawdzie głosy, dowodzące, że to rzecz trochę za smutna na „wieczór“, ale trudno: zabawa literacka nie może być... operetką!

Weselszy temat poruszył p. Gawalewicz, parodując w „Laureatce“ niedołęzne utwory sa-

mozwańczych poetów. Ks. Z. Chełmicki nakreślił, albo raczej „wygłosił“ sympatyczną sylwetkę „Pana Redaktora“, który, nie mając nic wspólnego z literaturą i z redaktorstwem, wierzy święcie w swoje powołanie.

Wacław Sieroszewski odczytał fragment z noweli na tle życia ludów syberyjskich, odznaczający się właściwą mu siłą i oryginalnością; pan Edward Lubowski opowiedział biografję „nie-wolnika swego dowcipu“, a na zakończenie Henryk Sienkiewicz, obecny prezes kasy literackiej, wygłosił precudowną fantazyę p. t. „Na Olimpie“, dokąd przyszli apostołowie Piotr i Paweł, by sądzić bogów pogańskich i skazywać jednych na zagładę, a drugim przebaczać.

Zginął Zeus gromowładny, rozwiął się we mgłę Posejdon, po którym berło objęła „Gwiazda morza“, ale pozostał Apollo i Muzy, by uszlachetniać serce ludzkie pieśniami; pozostała Pallas Atene, bogini mądrości, będąca i tak illuzją, a więc nie mogąca umierać, i pozostała Wenus, bogini miłości, bo bez miłości ludzkość żyćby nie mogła.

„Na Olimpie“ przeznaczył Sienkiewicz dla jednodniówki, mającej być wydana na rzecz kasy literackiej.

Nowelle: Prusa „Widzenie“ i Wacława Sieroszewskiego „Czucze“ będą wydrukowane w *Tygodniku*.

\*

*Nowy przemysł.* W mieście kalifornijskim San-Francisco poczęto dla miejscowych elegantek wyrabiać ze skóry ludzkiej—paski, portmonetki, torebki i tym podobne drobiazgi. Ale garbowanej martwej skóry ludzkiej trudno dostać, przeto cena wyrobów z niej dostępną jest tylko wybran-  
kom fortuny.

Zawiadamiamy przeto kamieniczników warszawskich, że odzierając żywcem skórę z lokatorów swoich, niech się postarają o założenie odpowiedniej garbarni.

Sądzimy, że safony, lakiery, zamsze, juchty i t. p., wyrabiane na miejscu, z marką „Wyroby zjednoczonych kamieniczników warszawskich“, znajdują olbrzymi popyt na drugiej półkuli, a za skóry białych murzynów plantatorowie kalifornijscy przysłał złoto plantatorom warszawskim.

Zaś lokator będzie, jak i był dotychczas, jako gambozino skalpowany. Ponieważ nowości cywilizacji, zwłaszcza tak ekscentrycznej, zdobywają grunt szybko, radzimy szanownym gospodarzom pośpiech, bo skoro u nas przyjdzie moda na trzo-  
sy i kamasze z ludzkiego surowcu, obdarci lokatorowie materiału nie dostarczą, więc przyjdzie kolej na kamieniczników.

I stanie się według przysłowia: „Skórka na



Odwrotna strona medalu.

buty, język na podeszwy.“ Czyli inaczej: „Skrob, synku, ale skrob cienko, żebyś nie przeskrobał.“

g.

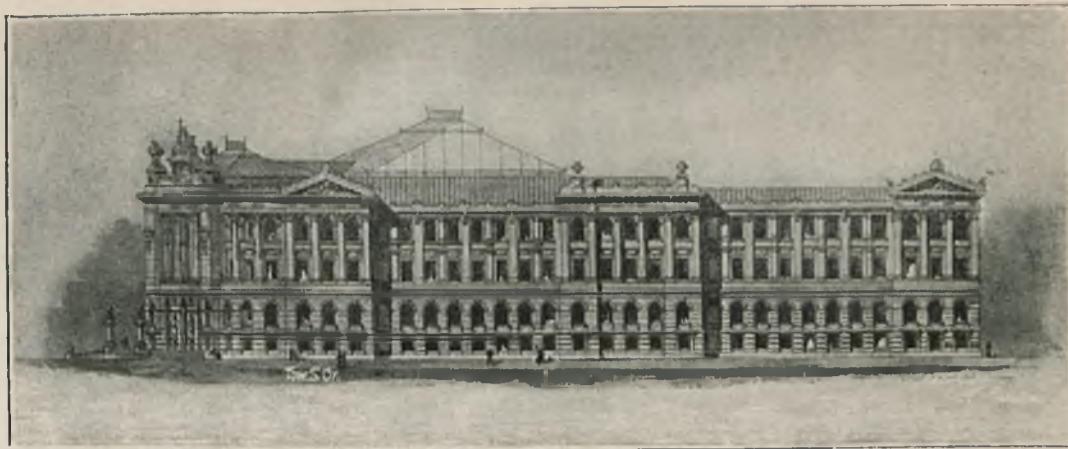
## Politechnika warszawska.

W cichem i spokojnem dotąd ustroniu miasta, zamkniętem z jednej strony torem wyścigowym, a z drugiej ul. Nowowiejską i Polną, na placu, zajętem przed trzema laty na wystawę higieniczną, niebawem powstanie szereg gmachów, które do niepoznania zmienią dotychczasową postać tej dzielnicy syreniego grodu. Zamiast pustych i odludnych placów, będą wspaniałe budowle, imponujące ogromem, pięknnością i harmonią form architektonicznych, a zamiast ciszy, przerywanej dwa razy do roku hucznym gwarem licznych zwolenników hippiki, ocknie się nowe życie, pełne zapału młodzieńczego, nadziei i zachwytu.

Z przebiegu wiadomości, podawanych przez gazety codzienne, wiemy, iż komitet, którego opiece powierzono sprawę najwyższej uczelni w kraju, po przejrzeniu wielu najrozmaitszych projektów, uchwalił ostatecznie plac powystawowy zająć pod budowę gmachów politechniki warszawskiej, przeznaczając na ten cel znaczne fundusze, bo dochodzące do trzech milionów rubli. Dziś, kiedy stoimy już u progu rozpoczęcia robót przygotowawczych, uważamy za stosowne podać wizerunek gmachu głównego przyszłej politechniki, zaznaczając, iż twórcami przyjętych projektów są budowniczo tutejsi, pp. Stefan Szyller i Bronisław Rogójski.

Pierwszy opracował projekt gmachu głównego i pawilonu fizyko-elektrotechnicznego, zaś drugi projekty pawilonów: chemicznego i mechanicznego, tudzież dwóch domów mieszkalnych dla ciała profesorskiego, administracji i służby niższej. Jak się z tego okazuje, przyszła politechnika składać się będzie nie z jednego olbrzymiego gmachu, lecz z szeregu budowli, z których każda ma już swoje przeznaczenie.

Całość, zaprojektowana ściśle w stylu odrodzenia włoskiego, przedstawia się pięknie i majestatycznie. Front gmachu głównego, którego prawdziwą ozdobą jest wspaniały portal o monumentalnych zarysach architektury klasycznej, zajmie obszerną przestrzeń przy zbiegu ul. Nowowiejskiej i Polnej, poczem z obu stron pójdą gmachy boczne, zamknięte w końcu poprzecznym pa-



Profil nowej politechniki

Projekt St. Szyllera

wilonem, który tym sposobem tworzyć będzie linię równoległą do frontu głównego.

Grunt zajęty pod budowę gmachów obejmuje 10,000 sążni kwadratowych. W pośrodku budowli znajdować się będą piękne ogrody i kilka sporych skwerów, z których sale od strony dziedzińca czerpać będą dostateczną ilość powietrza i światła.

Wszystkie gabinety naukowe, audytorya, czytelnie i pracownie, mają być urządzone z uwzględnieniem najnowszych zastosowań higieny, akustyki i wygody, a nadto w takim obszarze, ażeby w przyszłości z łatwością mogły pomieścić znacznie większą liczbę słuchaczy. Kosztorys budowy politechniki wynosi rub. 2,000,000, kosztorys zaś urządzeń wewnętrznych dochodzi do poważnej sumy rub. 800,000, cała zatem politechnika kosztować będzie rub. 2,800,000. Budowa ma być prowadzona z takim pośpiechem, ażeby nowa siedziba z początkiem roku szkolnego 1900/1 mogła już być w całości oddana na właściwy użytek.

A teraz słówko o twórcach dzieła, które w zakresie architektury niezaprzeczenie na długie lata stanowić będzie prawdziwą ozdobę naszego miasta.

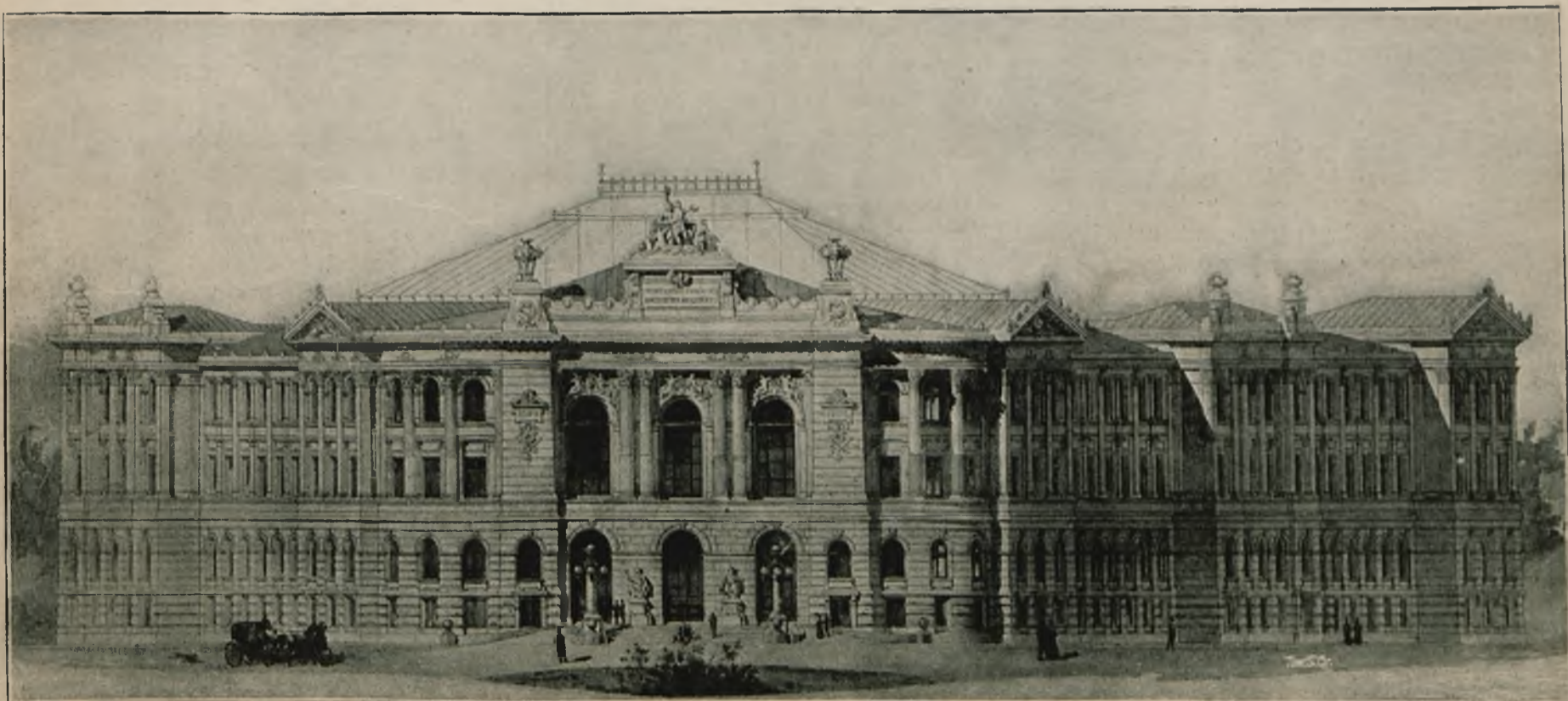
Stefan Szyller urodził się w Warszawie w r. 1857-ym. Po ukończeniu gimnazjum, przeszedł do Akademii sztuk pięknych w Petersburgu, gdzie

za studia akademickie otrzymał wielki złoty medal. Wysłany następnie kosztem rządu na dalsze studia za granicę, za złożone w tym okresie czasu prace otrzymał stopień naukowy akademika architektury. Po powrocie do Warszawy, młody, lecz wiele obiecujący budowniczy, poświęcił się praktyce, której owocem było wzniesienie wielu pięknych domów prywatnych.

Kiedy przed dwoma laty Towarzystwo sztuk pięknych ogłosiło konkurs na budowę własnego gmachu, delegacya rzeczoznawców, po przejrzeniu nadesłanych planów, dwukrotnie palmę pierwszeństwa przyznała projektowi Szyllera, którego praca z wielu względów zasługiwała na wyróżnienie.

Współtowarzysz Szyllera, budowniczy Bronisław Rogójski, dziecię gub. lubelskiej, urodził się w r. 1861-ym we wsi Głodno, w pow. Nowoaleksandrjskim. Nauki ogólne pobierał w Lublinie, a następnie w Stryju, w Galicyi, skąd przeszedł do politechniki lwowskiej, gdzie z powodzeniem ukończył wydział budownictwa. Za projekt restauracyi kaplicy Św. Stanisława Kostki w Rzymie Rogójski otrzymał odznaczenie sądu konkursowego. Z licznych projektów Rogójskiego, najwięcej jest znany w Warszawie piękny gmach Towarzystwa wioślarskiego przy ul. Foksal.

H. S.



FASADA GŁÓWNA NOWEJ POLITECHNIKI

PROJEKT ST. SZYLLERA



ODCZYT POPULARNY D-ra JAKIMIAKA O OSPIE

JAN HOLEWIŃSKI

*Eliza Orzeszkowa.*

# ARGONAUCI.

POWIEŚĆ.

23

**I** po chwili, pod temi brwiami, podobnemi do delikatnych płomyków, oczy jej zaczęły łagodnieć, tracić i lzy i ironię, aż nabrały wyrazu takiego pocieszenia, jakby dostrzegły— idyllę!

Jednocześnie powietrze, zaprawione już szarością zmroku, przerznęła jasna, ruchoma linia. Była to Kara, która szła od strony pokojów ojca, z toczącym się tuż za suknią Pufkiem. Idąc, nuciła. Ujrawszy siostrę, przestała nucić i z końca salonu zawołała:

— Wiesz, Iro? Ojczulek będzie dziś z nami jadł obiad!

W ciekim głosie jej brzmiał tryumf. Od wielu tygodni, po raz pierwszy ojciec zasiadzie z niemi do rodzinnego stołu, a gdy tylko się to stanie, no, to już i wszystko dobrze pójdzie! Co mianowicie szło źle? I dlaczego szło źle? Nie wiedziała. Ale miała swoje spostrzeżenia, zadziwienia, niepokoje. Coś czuła; tym prawdziwie szóstym zmysłem, który posiadają istoty z wyegzaltowaną uczucio-

wością, czuła w powietrzu jakiś ciężar, jakąś groźbę, i nie wiedząc, co znaczą, skąd pochodzą, cierpiała. W ten sam sposób organizacye z nerwami nadszły przeczują atmosferyczne burze. Teraz jednak szła swoim drobnym krokiem, prosta i cienka, z Pufkiem u sukni, wesoło nucąc.

Kiedy wkrótce potem Irena weszła do gabinetu matki, ujrzała w świetle lampy grupę, złożoną z trzech osób. Na kanapce, z połyskami czarnych dżetów w jasnych włosach, siedziała Malwina Darwidowa, obok z niskiego fotelu pochylał się ku niej elegancki, jak zwykle Maryan, a przed nią, z łokciami opartymi o jej kolana, klęczała Kara, bladobłękitną smugą przerywając czarność morowej sukni matczynej.

— Obraz godny oczu Sary i Rebeki! — zażartowała Irena, idąc wprost ku wielkiemu zwierciadłu, przed którym, z podniesionemi ramionami zaczęła poprawiać i przerabiać węzeł włosów u wierzchu głowy. Maryan, wesoło usposobiony, prosił matkę, aby pozwo-

liła malować swój portret jednemu z najświetniejszych malarzy miejscowych.

— To znakomity pendzel! Nie pojmuję, jakim sposobem na łonie starzyny tutejszej powstać mógł talent do tego stopnia nowy, indywidualny. On ma w krajobrazach przepyszny *plein-air*, a jako portrecista, umie chwycić duszę. Moja mamę, niech ja mam duszę mamy zaklętą w portrecie... Czy mama uważała, że oczy niektórych portretów patrzą na świat, jakby z za świata. Jest w nich zaklęta dusza. Niech ja mam portret mamy, wymalowany przez artystę, z którego płócien wieje technienie zaświatowości...

Pochylił swoją cherubinową głowę i rękę matki, opartą na ramieniu Kary, pocałował. Kara zawołała:

— I mnie za jednym zachodem pocałuj!

— Sentyment!—prostując się, rzekł Maryan:—strzeż się sentymentów, mała! Ja ci to mówię, twój pradziadek!

— Wybornie powiedziane! — ozwała się

od zwierciadła Irena. — Kara ma duszę tak pierwiastkową, a ty...

— Tak schyłkową...—wtrącił Maryan.

— Że masz prawo do tytułu jej pradiadka...

— Witam cię, prababuniu!—zaśmiał się ku siostrze, a do matki mówił: — Bo widzi mama, z dużą siostrą jużesmy się doskonale zrozumieli, a z małą jeszcze nie, ale i to kiedyś nastąpi, nawet zapewne wkrótce. *Mais revenons à nos moutons.* Co będzie z portretem?

Malwina śmiała się. Twarz jej, przed godziną zmęczona bardzo, znowu odmłodziła. Jakiś promień przerzynał w tej chwili jej grubą chmurę. Od myśli o portrecie bronila się.

— Po co? jest już tych portretów moich aż nadto, o, aż nadto!

— Karykatury!—zawołał Maryan — i żaden wyłącznie do mnie nie należy. Ja proszę o portret mamy specjalnie dla siebie, na swoją własność wyłączną.

— Po co?—powtórzyła Malwina:—ile razy czujesz potrzebę tego, patrz na oryginał. Lepiej nawet, abyś nie miał portretu; bo może częściej uczuwać będziesz tę potrzebę.

— *Point des reproches, chère maman!* Niechaj wyrzuty, groźby, cały arsenał patriarchy, pozostaną wyłącznie po jednej stronie... tamtej...

Gestem wskazał drzwi, prowadzące w głąb mieszkania. Kara z nad kolan matki głowę podniosła i oczy jej zamigotały.

— A z tej strony niech będzie sama słodycz, sam wdzięk, sama ta droga, śliczna słabość, przed którą jestem zawsze na klęczkach! Co zaś do tego, że będę mógł widzieć oryginał portretu, o który proszę, ilekroć tego zapragnę, to kwestya! Jesteśmy ziarnami piasku, które miota po świecie wiatr... interesujących wojażów!

— Czy masz znowu jaki zamiar podróżniczy? — niespokojnie zapytała Malwina.

— Tak! To i owo... w zarysach jeszcze lekkich, ale coraz więcej się uwyrażniających. Będzie to krok olbrzyma... zmykającego przed tą różdżką, którą Duch Św. dzialeczyki bić radził!

Znowu gestem wskazał drzwi, prowadzące do pokojów dalszych, i w krótkim śmiechu, który towarzyszył ostatnim jego słowom, zabrzmiała zjadliwość, prawie nienawiść. W tej samej chwili spotkał się z oczyma Kary i zawołał:

— Czego ty, mała, tak patrzysz na mnie? *Voilà des yeux!* Ciekawe, aż cheiwe, i wystraszone, jak u ściganey lani! Czegoś ty taka ciekawa? I czego tak się lękaasz?

Kara szybko ukryła twarz w sukni matczynej, a Irena odezwała się nagle z przed zwierciadła:

— A jakby się mamie podobało zrobić azem ze mną fugę do Ameryki?

Upięła ostatecznie włosy, przebiła je fantastyczną szpilką, i odwróciwszy się od zwierciadła mówiła dalej:

— Ja mam takie buty *du petit Poucet*, że jak je włożę, to trzy duże kroki i—jesteśmy obie z mamą za morzami! Jak się mamie ta myśl podoba?

— Jesteście dziś deszczem projektów!—zażartowała Malwina. — Portret, ucieczka od

trzech panów: książe Zenon, hrabia Czarski i trzeci jakiś, którego nazwiska nie pamięta, ale taki duży pan, wysoki i szeroki, z piersią błyszczącą od gwiazd i krzyżów. Ona, Kara, chciała przed gośćmi schować się za etażerkę... tam jest taka etażerka, za którą ona często siaduje, i sama niewidzialna, wszystko widzi i słyszy: ogromnie wygodne schowanko, w którym z Pufkiem tylko biedę miewa, bo co kto wejdzie do pokoju, to on chce szczeleć, ale ona wtedy mu pyszczek mocno ręką ściśnie i —cicho! Tego dnia jednak, nie poszła za etażerkę, bo ojczulek stanowczo kazał na fotelu usiąść. Więc tak usiadła, z powagą...

Tu, siadając na taborecie, pokazywała, w jakiej postawie siedziała wobec ojcowskich gości, ręce opuszczone na kolana, prościuteńka, z powagą na różanej twarzy. Powagę tę mącił tylko Pufik, który wlaź jej za plecy, łapki położył na ramieniu, a mokry pyszczek przytknął do samego ucha. Jeden z tych panów zwrócił się wówczas do niej i powiedział:

— Ślicznego ma pani pieska!

— Jest bardzo grzeczny—odpowiedziała.

— A na imię mu? — zapytał drugi.

— Pufik!—objaśniła.

Nie śmiała się weale, bo nie było z czego. Pufik jest naprawdę grzeczny i imię ma ładne, ale ci panowie, patrząc na nią, uśmiechali się bardzo przyjemnie, a jeden z nich rzekł do ojczulka:

— Jak szybko czas upływa! Niedawno jeszcze widywałem młodszą córkę pana dzieckiem, a teraz...

Drugi podchwycił:

— Jest już prawie dorosłą. Wzrostem dorównywa, jak się zdaje, starszej siostrze...

Tamten znowu zaczął:

— Bardzo rzadko tej zimy mamy przyjemność widywania rodziny pana w towarzystwach...

Drugi potwierdził:

— Żona i córka pana prowadzą w tym roku życie bardzo zamknięte...

— Żona moja uskarża się na częste migreny — odpowiedział ojczulek, a wtedy i nieznamy, duży pan się odezwał.

Dotąd Kara, opowiadając rozmowę dwóch panów, zmieniała głos, naśladowała ruchy i postawę każdego; teraz słowa dużego pana powtórzyła głosem najgrubszym, na jaki tylko zdobyć się mogła:

— Nie miałem jeszcze zaszczytu być przedstawionym żonie i starszej córce pana, a tyle słyszałem, że i t. d.

Potem rozmawiali jeszcze z ojczulkiem o czym innym, a odchodząc, powiedzieli jej kilka ładnych komplementów. Ona dygota śmiało powiedzieć może, że z blaskiem odegrała rolę dorosłej panny. Ojczulek po odejściu gości powiedział, że cieszy się z wizyty dużego pana, bo znajomość z nim jest mu



HERKULES I PALLADA.

Z sali Orniańskiej pałacu „Huis ten Bosch” w Hadze.

różdżki, Ameryka...

— Ba!—podnosząc głowę, zawołała Kara.—Bo przecież ty o niczem nie wiesz, Marysiu... za kilka tygodni będzie u nas prawdziwy, wielki bal!

— Ciekawą historię prawisz, mała; praw dalej!—odpowiedział Maryan.

Kiedy szło o prawienie, Kary nigdy nie trzeba było dwa razy prosić. Zerwała się z klęczek i zaczęła opowiadać historię godziny, którą przed kilku dniami spędziła w gabinecie ojca. Matce i siostrze o projekcie balu oznajmiła zaraz, ale skąd wynikał, nie powiedziała. Coś przeszkodziło. Teraz wszystkim opowie. Do ojczulka przyszło z wizytą

potrzebna dla interesów. Potem zamyślił się, aż rzekł:

— Wiesz co, maleńka? Trzeba, abyś zaczęła już pokazywać się w świecie!

Tu Maryan półgłosem mruknął:

— Nowej kolumneczki zapotrzebował do swojej świątyni...

Irena uśmiechnęła się; Malwina udała, że nie słyszy; Kara, rozszczebiotana, nie słyszała i szczebiotała dalej:

— Potem ojczulek mówił, że mama i Ira prowadzą życie klasztorne, mało przyjmują i wyjeżdżają. Ma to minę nieszczęścia domowego, albo bankructwa. Taki pozór jest czemś brzydkim wogóle i dla interesów szkodliwym. Aby mu zapobiedz, trzeba urządzić jedno przyjęcie, ale wielkie, jak najokazalsze. Karnawał skończy się wkrótce, a u końca karnawału wydamy bal, na którym „maleńka“ pierwszy raz ukaże się w świecie. Dzisiaj zaś, przed godziną, ojczulek powiedział, że przyjdzie do nas na obiad i z mamą o tym balu obszernie pomówi.

Na tem Kara skończyła opowiadanie, które było trochę przedstawieniem dramatycznym, a Maryan nagle z siedzenia się podniósł.

— Trzeba, abym sobie stął szedł — wymówił z postawą zeszywniałą i rysami zastygającymi.

Malwina ozwała się z cicha:

— Zostań, Marysiu!

Twarz jej stała się udręczoną, z pogłębianą linią zmarszczki na czole; w głosie brzmiała prośba. Maryan patrzył na nią, chwilę wahał się, aż ruchem automata opuszczając się na fotel, wymruczał.

— *Que votre volonté soit faite!* Niech będzie garnkiem pomalowanym na kolor miłości synowskiej... dla ciebie, mamó!

Od myśli, że zaraz spotkać się ma z ojcem, wnętrzości serca wysychać mu zaczęły.

Lokaj oznajmił podany obiad. Kara zerwała się z tabureta:

— Pójdę, ojczulka przyprowadzę!

Biegła ku drzwiom, ale od drzwi wróciła, i przed matką osunąwszy się na klęczki, kilka długich, namiętych pocałunków na jej kolanach i rękę złożyła. Ku szyi jej wspięła się i cicho zaszeptwała:

— Mamciu złota, jedyna, najdroższa!

I porwawszy się z klęczek, jak ptak z pokoju wyfrunęła. Co znaczył ten gwałtowny wybuch czułości dla matki? Nikt nie wiedział, ani może ona sama. Byłaż to prośba za kimś, czy chęć upewnienia, że nie tylko tego kogoś, ale i matkę także bardzo kocha? czy radość, że nakoniec obojga ich razem zobaczy? Jak ptak leciała przez salony, oświetlone paląciami się gdzie niegdzie lampami, aż cicho, jak promień wsunęła się do gabinetu ojca i stojącemu u biurka rękę pod ramię wsunęła. Cała zaróżowiona, udając gruby i uroczysty głos lokaja, rzekła:

— Obiad podany!

Darwid uczuł spływający mu do piersi strumień ciepła i słodyczy.

— O, ty, swawolnico! — rzekł. — Promyku! Maleńka!

Kiedy po chwili wchodził z Karą do sali

jadalnej, przez drzwi przeciwległe Maryan wprowadzał tam matkę, całą w czarnych polyskach mory i dżetów.

Darwid pochylił się i ręki żony dotknął ustami; na twarzy Malwiny rozlewał się uśmiech uprzejmy.

— Tak jestem niezmiernie zajęty, — rzekł — że nie codzień mam czas zapytać cię o zdrowie.

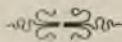
— Dziękuję ci, mam się wybornie — odpowiedziała.

Dzieci, miss Mary, służba. U ozdobnego bufetu krzatali się dwaj lokaje, przy stole błyszczącym od kryształów i sreber stała miss Mary, zgrabna i jeszcze młoda, z purytańską prostotą w stroju obcisłym i gładkich pasmach włosów nad spokojnym czołem. Gospodarz domu powitał Angielkę i wyraził żal, że z powodu zajęć tak rzadko widywać ją może, a gdy wszyscy już zajęli miejsca u stołu, Malwina ze swobodą wprawnej gospodyni rozmowę rozpoczęła:

— Mówiliśmy przed chwilą o Stanach Zjednoczonych, którymi od jakiegoś czasu Ira i Maryan żywo interesować się zaczęli.

— Zapewne z powodu wystawy, przygotowującej się w Chicago — podjął Darwid; — istotnie, ma to być coś kolosalnego.

(D. c. n.)



## Nowy dyrektor Teatru krakowskiego.



Jak już czytelnikom naszym wiadomo, Józef Kotarbiński obejmuje obowiązki kierownika sceny krakowskiej, d. 1 sierpnia r. b.

Stary to nasz znajomy, bo młodość i znacz-



Józef Kotarbiński.

Fot. J. Mien.

ną część życia spędził w ukochanej przez się Warszawie.

Urodzony 27 listopada 1849 r. w Czemiernikach, w gubernii Lubelskiej, ukończył nauki gimnazjalne w Warszawie, a studia uniwersyteckie na

wydziale filologiczno-historycznym Szkoły Głównej, w latach 1866—1871. Już w szkołach średnich czuł pociąg do pióra, z którym zabrał się w zupełności na ławie uniwersyteckiej, drukując artykuły w r. 1867 w *Przeglądzie Tygodniowym*.

Pierwszą większą jego pracą był rozbiór dramatu Ernesta Raupacha „Robert Dyabeł“, przełożonego przez Seweryna Goszczyńskiego; pisywał też krytyki teatralne i o literaturze dramatycznej, teatr bowiem był zawsze jego ukochanym, pieczołonym w marzeniach ideałem.

Wkrótce zaczął drukować felietony w „Nowinach“, „Opiekunie domowym“ i w „Prawdzie“, a rozszerzając następnie sferę pracy literackiej, był członkiem redakcji „Kuryera Codziennego“ za ś. p. Kucza, pisywał „Listy ze Starego Miasta“ w „Gazecie Warszawskiej“, przez lat kilka „Pokłosie“ w „Kłosach“ pod pseudonimem Karola, dalej w „Tygodniku Ilustrowanym“, „Wędrowcu“, „Bibliotece Warszawskiej“, w „Ateneum“, w „Echu“, „Głosie“, w krakowskim „Świecie“ i w „Kuryerze Warszawskim.“

Z ważniejszych prac literackich Kotarbińskiego, zasługują na szczególną wzmiankę studia o „Makbecie“ Szekspira, „Maryi Stuart“ Słowackiego, „Śnie nocy letniej“, „Królu Learze“, „Don Juanie“ Byrona i „Beniowskim“ Słowackiego; dalej o Orzeszkowej, Asnyku; artykuły większe, jak: „Podwójna miłość“, „Przodownictwo bezwstydu“, „Nowy żywioł w poezji naszej“, „Estetyczne i społeczne znaczenie teatru“, „Przyszłość sztuki i poezji“, „Impresjonizm w krytyce“, „Pan Tadeusz jako epos“, „Nowe badania nad Hamletem“, „Wstyd i obyczaje“, „Teatr w powieści i w życiu“, „Nowe prawo w starej formie“ i wiele, wiele innych studiów, szkiców i rozpraw z zakresu literatury, sztuki i teatru, rozproszonych po naszych piśmiech.

W r. z. wydał książkę p. t. „Niezdrowa miłość“, w której w nadzwyczaj zajmującej formie, przedstawił wyniki swych badań i spostrzeżeń.

Nazwisko Kotarbińskiego zarazem jest znane zaszczytnie nie tylko w literaturze, lecz i ze sceny, której się oddał w r. 1877. Odbiwszy studia u Królikowskiego i Jasińskiego, wystąpił po raz pierwszy w teatrze Letnim w „Mazepie“, w którym odtworzył rolę Zbigniewa, a następnie Ferdynanda w „Intrydze i miłości“, przyjęty w poczet stałych członków teatrów warszawskich, grywał do roku 1893 role tragiczne i bohaterskie, z których w szczególności zyskał uznanie, jako Faust, Karol (w „Zbójcach“), Leicester („Marya Stuart“), Marcus („Arria i Messalina“), hr. Essex, Romeo, Uriel, Hamlet, Wojewoda w „Mazepie.“

Położył też niepospolite zasługi jako reżyser teatru Rozmaitości, oraz pedagogiczne, jako nauczyciel w szkole Derynga, a następnie w klasie dykeyi i deklamacji przy Towarzystwie muzycznym.

W Krakowie bawi od r. 1893, dając rok rocznie kilka nowych postaci. Nie zaniedbywał też w dalszym ciągu zawodu pisarskiego.

Kotarbiński należy w grodzie podwawelskim do bardzo sympatycznych i popularnych osobistości, a równocześnie otoczony jest jako człowiek zasad uczciwych i zacnego charakteru ogólnym szacunkiem. Najdosadniej okazało się to obecnie, gdy przy głosowaniu za jego kandydaturą oświadczyły się trzy czwarte radnych miasta. To też w nim miasto widzi w najbliższej przyszłości doskonałego kierownika sceny krakowskiej, która pod Pawlikowskim (należy to uznać) stała się pierwszorzędną.

Znajomość fachu, zamiłowanie, wybitna inteligencja, rutyna, wysokie literackie wykształcenie, żarliwe zajmowanie się literaturą dramatyczną obcą i swojską, badanie teatrów zagranicznych i gorący zapał dla sztuki — oto czynniki, które nam dają zapewnienie, iż teatr krakowski pod nową dyrekcją zakwitnie w jeszcze większej pełni doskonałości.

K. Cz.





Próba lancy w Schönbrunnie 1809 r.

Wypuklorzeźba Kurzawy według akwareli Jul. Kossaka

*Alexander Rembowski.*

## Szwolężerowie polscy w obrazach Juliusza Kossaka.

**D**rawie na ławie szkolnej zżył się Kossak z historią pułku szwoleżerów i przejął całą jego legendę z ust pozostałych bohaterów. W Galicyi, gdzie Kossak młodość swoją spędził, opowiadał mu o czynach szwoleżerów generał Józef hr. Załuski, autor pamiętników, w 1865 r. w Krakowie wydanych. Jeden Załuski wystarczał, aby Kossaka obznajmić dokładnie z glorią słynnych rycerzy, Załuski bowiem prowadził korespondencję ze wszystkimi słynnymi oficerami pułku szwoleżerów i zbierał skrętnie wszystkie szczegóły, które wyjaśniały ich zachowanie się na pobojo-wisku.

Kossak nie ograniczył się na tem jednym, choć wybornem, źródle informacji. Opowieściami swojemi służyli mu: generał hr. Szeptycki i pułkownik Fredro, a później w Królestwie Polskiem generał hr. Łubieński, w Poznańskiem zaś pułkownik Niegolewski, autor słynnej broszury o szwoleżerach pod Sommosierra, w języku francuskim napisanej. W takim towarzystwie i pod wpływem takich osobistości, nie dziw, że się Kossak rozmyślał w legendzie szwoleżerów i często oddawał na jej usługi swój oryginalny i pełen polotu talent.

Przedewszystkiem, pierwszy, nieśmiertelny czyn szwoleżerów, zdobycie wawozu Sommosierra, zwrócił jego uwagę. Podobno, że w zbiorach hr. Franciszka Łubieńskiego znajdowała się akwarela Kossaka, wyobrażająca natarcie szwoleżerów i zdobycie dział hiszpańskich. Z utworem tym jednakże nie zdołałem się spotkać; natomiast, poznałem akwarelę, w posiadaniu prezesa Ludwika Górskiego będącą, która inny moment z boju pod Sommosierra wyobraża.

Kossak w utworze swym ukazał nam wawóz już zdobyty, działa umilkły, otoczone trupami kanonierów, i piechota hiszpańska cofnęła się pośpiesznie ku Madrytowi.

Rannego Niegolewskiego wydobyto z pod armat ostatniej reduty, i na leżach naprędce sformowanych, niosą go towarzysze ku cesarzowi, który, podług opowieści samego Niegolewskiego, miał przyozdobić jego pierś krzyżem Legii honorowej.

Kozietulski, stojąc piechotą, zdaje raport Napoleonowi. Nietrudno odgadnąć, że opowiada cesarzowi o przebiegu ataku. W pierwszej chwili kula armatnia zabiła pod nim konia; mimo wszelkich starań, nie mógł dostać drugiego i piechotą zdążył za nacierającymi towarzyszami. Napoleon, nie udzielił krzyża legii honorowej Kozietulskiemu, choć cała zasługa i chwała dnia tego należy się mężnemu szefowi atakującego szwadronu. Widocznie, że utrata konia i udział pieszy w dalszym przebiegu ataku, usposobiły źle Napoleona, każąc Kozietulskiemu czekać aż rok cały na dekorację.

W pobliżu cesarza, przedstawił nam Kossak drugi szwadron, sformowany naprędce pod dowództwem hr. Tomasza Łubieńskiego, szefa szwadronu. Dotychczas niewiadomo napewno, jakie plutony należały do tego szwadronu i czy go sami szwoleżerowie składali.

Niegolewski bowiem w swej francuskiej broszurze utrzymuje, że ocknąwszy się wśród dział ostatniej reduty, ujrzał naprzód strzelców konnych gwardyi, którzy pośpieszyli do niego z ratunkiem i pomocą. Kossak namalował samych tylko szwoleżerów w posiłkowym szwadronie. Czekają oni rozkazu, aby oczyścić wawóz i utorować drogę do Madrytu. Jest to nie krwawe zadanie, które przypadło im w udziale, i porównywać go z czynem szwadronu, któremu przywoził Kozietulski, nie godzi się.

Nieprzyjaciel bowiem był już stanowczo złamany, nie myślał o żadnym oporze, i ogień z broni palnej, przed chwilą tak żywy, ucichł zupełnie. Oczyszczenie wawozu było więc

czynem użytecznym, ale nie bohaterskim, i trofea, zdobyte przez szwadron Łubieńskiego, należą się właściwie Kozietulskiemu.

Akwarela Kossaka, Sommosierre poświęcona, odznacza się niezwykleymi przymiotami, i artysta rozwinął w niej bogate zalety swego pędzla. Przedstawiając teren, Kossak odbiegł nieco wyobraźnią swą od rzeczywistości. Nie mamy zaufania do położenia gruntu i otaczającej go przyrody. Zdaje się, że Bellangé, a przedewszystkiem Bacler d'Albe, trzymali się wierniej natury wawozu, nie zapominając też o strumieniu, który przerzynał i tak ciasną drogę.

Kossak traktował teren z pewną dowolnością, ale za to zbyt swobodę wyobraźni w jednym kierunku wynagrodził nam przepyszną galerią dzielnych rycerzy i pięknych koni.

Szwolężerowie jego, czy to stoją pieszo, jak Kozietulski, czy siedzą na koniu, jak Łubieński, uderzają oko widza dziarskością oblicza, niezłomnością woli i postawą żołnierską. Konie zaś Kossaka to prawdziwe dzieci wojny. Nie tylko szlachetność kształtów i zwinność ruchów podziwiamy w tych wiernych współtowarzyszach szwoleżerów, lecz z ich ognistych spojrzeń i rozdętych chrapów wnosiśmy, że takie konie zanoszą wszędzie takich kawalerzystów.

Trudną do odtworzenia postać Napoleona namalował Kossak bardzo udatnie. Nie mamy tu zamiaru porównywać Kossaka z najlepszymi portrecistami doby Napoleona, ale możemy śmiało oświadczyć, że postać cesarza stworzona przez Kossaka, zajmować będzie niepoślednie miejsce w rzędzie nowożytnych ilustracji, nie wyjmując i francuskich.

Drugą akwarelę poświęcił Kossak szarży pod Wagram. W kampanii 1809 roku brał pułk szwoleżerów, od samego początku, zaszczytny udział.

W pierwszych jednak bitwach pojedyn-



SOMOSIERRA

JULIUSZ KOSSAK



BITWA POD PETERSWALDE 1813

JULIUSZ KOSSAK



BITWA POD WAGRAM

JULIUSZ KOSSAK

cze tylko szwadrony szwoleżerów wykonywały ataki. Dopiero w bitwie pod Wagram cały pułk szarżował na ułanów Szwartzenberga i okrył się znowu nieśmiertelną chwałą. Oto co pisze generał Chłapowski o tej szarży: „Dojechałem do szaserów i do gwardii polskiej, oddałem generałowi Krasińskiemu rozkaz cesarza, poczem zaraz przypuściła ona szarżę na ułanów Szwartzenberga i dragonów la Tour. Nie byłem przy tej szarży, bo dążyłem naprzód za Macdonaldem, ale później się dowiedziałem, że się powiodła. Przy tej szarży zdarzył się wypadek, który mógł pułk o klęskę przypawić, gdyby nie przytomność Kozietulskiego. Dwa pierwsze szwadrony komenderował grosmajor Delaitre, Francuz, drugie dwa podpułkownik Kozietulski. Delaitre miał wzrok krótki, nosił okulary. Widząc austriackich ułanów, gotujących się do ataku, i przeceniając ich siłę, chciał się zbliżyć do szaserów, którzy byli w tyle, zakomenderował: „Demi tour à droite!“—jako starszy dla całego pułku. Spostrzegł niebezpieczeństwo Kozietulski, iż Austriacy wpadną na nich z tyłu, dał więc natychmiast tę samą komendę, a miał śliczny i donośny głos i ogromne zaufanie w pułku.

Tak nasze ułany, zrobiwszy dwa razy zwrot, znaleźli się znów frontem do nieprzyjaciela, zrównali się i w tej chwili Kozietulski: „Do ataku broń! i marsz, marsz!“—zakomenderował. Szarża się powiodła. Delaitre szlachetnie Kozietulskiemu podziękował.

Zabrano ze 150 ułanów, kilku oficerów, a między nimi pułkownika księcia Auersperga, ale też oficerowie nasi przyznawali, że łatwo ich było brać, bo ułani, poznawszy rodaków, brać się dawali; inaczej, w jednej szarży na

polu bitwy, pomiędzy dwiema liniami, a zawsze na krótkiej przestrzeni, jeden regiment nie jest w stanie wziąć 150 kawalerzystów do niewoli; do tego pogoń musiałaby być dłuższą, albo nieprzyjaciel przyparty do jakiej zawady.

O szarży pod Wagram krążyły liczne opowieści między pozostałymi bohaterami. Walecznością odznaczył się w niej niezwykle Tomasz Łubieński, ale w listach jego do żony brak właśnie sprawozdania z bitwy pod Wagram. Kossak przejął jednak żywą opowieść z ust generała, dla którego wymalował akwarelę. W utworze swym przedstawił artysta szefa szwadronu Łubieńskiego, jak się wyrąbuje z żelaznego pierścienia, stworzonego przez ułanów Szwartzenberga. Ułani austriaccy posiadają lance, których szwoleżerowie nie mają. Nie przeszkadza to jednak Łubieńskiemu, że pałaszem odpiera ciosy i przecina lance, wymierzone w jego piersi. Cała grupa, w której dominuje postać Łubieńskiego, wzbudza w nas podziw artystycznym układem i rzeczywiście marsową atmosferą.

Nie tylko żołnierze, lecz i konie, zdają się walczyć z sobą. Rumak Łubieńskiego zrósł się z postacią rycerza. Jedna ich ogarnęła bojowa dusza, i znać, że pomimo przewagi nieprzyjaciół, zwyciężą. W ułanach Szwartzenberga spostrzegamy gwałtowność w napaści i umiejętnie zażycie konia, oraz władanie lancą. Przewidujemy, że walka będzie ciężką i niebezpieczną; ale ożywia nas nadzieja, że w zamieszaniu kawaleryjskim szwoleżerzy nie zapomną o swym walecznym szefie szwadronu i podążą mu ze skuteczną pomocą.

W szarży pod Wagram pułk szwoleżerów zdobył znaczną liczbę dział. Pamiętnikarze i pisarze historyczni nie zgadzają się na liczbę zdobytych armat. Niegolewski, a za nim Masson, podają ich 45, a generał Dautancourt twierdzi, że ich było zaledwie kilkanaście.

Bez względu na cyfrowe różnice, nie ulega żadnej wątpliwości, że szwoleżerowie zrobili poważną szczerbę w nieprzyjacielskiej artylerii. Kossak nie uwzględnił tego momentu zupełnie, w akwareli jego nie spotykamy ani jednego działa, i odtworzył jedynie zamieszanie jazdy, w którym postać Łubieńskiego na pierwszym występuje planie. Ale i ze zwarcia się jazdy Kossak tylko jedną wybrał chwilę. Nie widzimy bowiem wzięcia do niewoli księcia Auersperga z ułanami austriackimi, którzy przeważnie z Galicji pochodzili.

Jak nas tradycja ustna zapewnia, łatwo było poznać szwoleżerom swych rodaków w austriackich mundurach. Głośno bowiem miotane przekleństwa, a przede wszystkim energiczne „psia krew,“ zdradzały pochodzenie austriackich ułanów. Z całego tego tragicomicznego wypadku niema w akwareli Kossaka ani śladu, a ponieważ zdaje się być ona poświęcona przeważnie Łubieńskiemu, więc dołączam wspomnienie o nim, dotyczące szarży pod Wagram.

Między 1850 a 1860 rokiem, generał Tomasz Łubieński, udając się do Karlsbadu, na jednej ze stacji pobliskich spotkał mężczyznę nieznanego, z wielką blizną na twarzy. Marsowa postać cudzoziemca uderzyła Łubieńskiego, a w dodatku i obserwowany jegomość przypatrywał się pilnie Łubieńskiemu. Po-



BITWA POD RHEIMS 1814

JULIUSZ KOSSAK

budzony ciekawością, generał zapytał obcego podróżnego: czy przypadkiem nie otrzymał blizny pod Wagram, i czy nie znajdował się w tej bitwie na koniu maści jabłkowej? Na to otrzymał odpowiedź, że tak jest rzeczywiście, i że otrzymał ranę od oficera szwoleżerów, który siedział na skarogniadym koniu. Pokazało się, że oficerem tym był Łubieński, a nieznanym Austryakiem, o ile sobie przypominam, hr. Stahremberg.

Wobec tylu i tak pięknych legend, otaczających Łubieńskiego, nie dziwimy się zupełnie, że Kossak około jego postaci osnuł całą szarżę pod Wagram. Ale w ten sposób nie przedstawił całej akcji militarnej, lecz odtworzył z niej tylko jeden epizod. Pod akwarelę jego znajdować się powinien podpis: „Z szarży pod Wagram,” bo przedstawia tylko jeden moment ataku, który wywołał różne następstwa i zdobył liczne trofea.

Nie przeszkadza to jednak, że utwór Kossaka, poświęcony szarży pod Wagram, jest nadzwyczaj piękną produkcją artystyczną. W przedstawieniu zwania się konnicy jest dużo życia i prawdy, w pojedynczym żołnierzu jest sporo siły i zwinności, a w całym utworze panuje piękno i swoboda, pozbawiona wszelkiej rutyny i maniery, prawie nieodstępnych towarzyszek dojrzałych artystów.

W roku 1809 szwoleżerowie otrzymali lance. Jak Masson opowiada, zdecydowało cesarza do tego postanowienia zachowanie się szwoleżerów podczas szarży pod Wagram.

Rycerze nasi bowiem, potykając się z ułanami Szwartzenberga, odbierali im lance i dawali im dotkliwie uczuć ich skuteczność. Dowiedziawszy się o tem, cesarz postanowił obdarzyć szwoleżerów lancą, jako ich bronią narodową, którą prawie od dzieciństwa władali nawykli i zdobyli ją sobie w bohaterski sposób pod Wagram.

Przedewszystkiem, jak tradycja niesie, postanowiono odbyć próbę lancy wobec cesarza. Wójcicki, w „Cmentarzu Powązkowskim,” utrzymuje, że próba owa odbyła się, i że szwoleżer, Wiktor Roman, odbył ją w sposób zwycięski z dragonami gwardyi. Wójcicki nie wymienił jednak miejsca, gdzie owej próby dokonano, i całą opowieść, którą podaje, nosi charakter legendowy.

Nie przeszkodziło to jednak Kossakowi, że opowieść Wójcickiego była mu bodźcem do nowego utworu.

Trzecią akwarelę z rzędu poświęcił artysta próbie lancy. Ma się ona odbywać w parku w Schoenbrunn, w przytomności cesarza, pułkownika Krasieńskiego i licznej świty. Na szwoleżera Wiktora Romana puszczone trzech dragonów gwardyi; jednego z nich Roman wysadził z siodła, drugiemu—zagroził poważnie tym samym losem, a trzeci nadbiega, aby wesprzeć swoich towarzyszków. Zwinność i determinacja Romana dają nam pewność, że za chwilę będzie zwycięzcą, a ugrupowanie jeźdźców walczących i cesarskiej świty nadaje obrazowi szczególniejszy

wdzięk i prostotę. Z akwareli Kossaka zrobił nieboszczyk Kurzawa wypuklorzeźbę. Reprodukcję fotograficzną tej wypuklorzeźby daliśmy w *Tygodniku* z konieczności, nie wiedząc, u kogo się oryginał Kossaka znajduje.

Do czwartej akwareli służyła treścią Kossakowi bitwa pod Peterswalde, w r. 1813 dnia 16 września stoczona. W bitwie tej w zaszczytny sposób wziął udział Fredro, szef szwadronu szwoleżerów. Otrzymałszy rozkaz szarżowania na pruskich huzarów, wykonał zadanie wyśmienicie. Huzarzy zostali rozbici i do sromotnej zmuszeni ucieczki, a pułkownik ich, Blücher, syn słynnego feldmarszałka „Vorwärts,” Fritzem zwany, był wzięty do niewoli.

Akwarela wyobraża ów moment, gdy Fredro, w zwareciu się kawaleryjskiem, uderza na Blüchera. Nim jednak Fredro zdolał wymierzyć cios pałaszem, ogarnął go śmiech pusty, albowiem w tejże samej chwili szwoleżerowi Wojciechowskiemu udało się schwytać za kark Blüchera i tem zupełnie obezwładnić Prusaka. Kossak odtworzył po mistrzowsku w tej akwareli pomieszanie się jazdy (melée): napozór panuje w obrazie nieopisany chaos, zdaje się, że zwinność żołnierza i dobre zażycie konia zwyciężą. Z pośród jednak ogólnego zamieszania odrzyna się plastycznie scena Blüchera z Fredrą. Nawet konie głównych oficerów objaśniają nam położenie rzeczy. Rumak Fredry, pełen ognia,

zda się przeczuwać zwycięstwo, koń Blüchera wyrzuca zadem, pragnąc ocalić swego jeźdźca od kompromitującej katastrofy.

Piątą i ostatnią akwarelę, którą odszukać zdołałem, poświęcił Kossak bitwie pod Rheims w 1814 r. Obraz wyobraża piękny czyn hr. Szeptyckiego, szefa szwadronu szwoleżerów, który na czele swoich żołnierzy bierze do niewoli batalion piechoty pruskiej, z majorami i działami. Piechota pruska, na obrazie Kossaka, składa już broń do nogi. Major dowodzący oddziałem, podniósł pałasz do góry, na którym widać chustkę, znak poddania. Szwoleżerowie otaczają zewsząd piechurów pruskich, wśród batalionu widać gdzieś niegdzie armatę bez kanonierów, bo ci są wycięci, a na samem czele, tuż przed frontem batalionu, widzimy hrabiego Szeptyckiego, dającego znak podniesioną szablą swoim szwoleżerom, że pardon został przyjęty, a więc, że należy się obchodzić łagodnie z nieprzyjacielem.

I w tej akwareli Kossaka znajdujemy ruch, różnorodność, życie i atmosferę bojową. Mimowolnie ogarnia nas uznanie i podziw dla dzielnych rycerzy, którym się nie oparła waleczna i wydyscyplinowana piechota. Przytem talent Kossaka unikał szczęśliwie wszelkiego powtarzania się i wynalazł nową scenę bojową, która ilustruje świetnie historię pułku szwoleżerów.

Nie wiem, czy w przyszłości nie znajdą się nowe akwarele Kossaka, poświęcone czynom militarnym szwoleżerów? Obecnie udało się mi odszukać ich tylko pięć. Wszystkie przekonują o tem, że Kossak szczególnie umiłował drużynę szwoleżerów. Kaski z szerokimi, blaszanymi słonicami wywierały nań dziwny urok, i przez całe życie pozostał wierny legendzie, którą zaczerpnął w młodości z ust bohaterów z pod Sommosierry.



Adolf Dygasiński.



### Stadno gniazdo w Kladrubach.



„Bóg dopoinaga tym, którzy o swoje konie dbają.“  
Mahomet.



D rugim z rzędu cesarzem w linii młodszej Habsburgów był Maksymilian II, syn Ferdynanda I i Anny Jagiellonki (węgierskiej), a brat dwóch żon naszego Zygmunta Augusta. Pan ten, młodzieniec dwudzieściopięcioletni, w r. 1552 przybył do Wiednia z Hiszpanii, gdzie przez trzy lata jako wicekról rezydował.

Wjazd jego do stolicy cesarstwa odznaczał się niezwykłą okazałością, a kroniki współczesne, rozwodząc się nad tem, zapisały, że Maksymilian był zwolennikiem namiętnym różnych zwierząt. Wtedy po raz pierwszy jakoby widziano słonia w grodzie nad modrym Dunajem i w orszaku ar-



„General“ w skoku

cyksięcia ukazały się także liczne papugi—„kruki indyjskie.“ jak je podówczas Wiedeńczycy nazywali.

Ale do przepychu wjazdu najwięcej się przyczyniały wspaniałe, szerokiej sławy używane w tamte czasy dzianety hiszpańskie, konie „barze.“ żrebee z wysoka stąpające i rażno składające gibkie nogi: więzi jeleniej i chybkosci, oka wypukłego, piersi wykładnej, chodu pysznego, co zadem zarywa jako u pani, brzucha, co go pas nie zsięże. Takie dzianety cudne były już wówczas w Polsce obok fryzów gnuśnych, sekielów farbowanych, bachmatów ręczych, rumaków rosłych, hestrów drobnych, argamaków o wysokim kłusie, bedewiów smukłych.

Maksymilian, nim się uwieńczył koroną cesarską, w roku 1562 zasiadł na tronie królewskim Czechów, a stany czeskie ofiarowały mu w darze koronacyjnym dobra Pardubice, położone w pięknej dolinie nad Elbą górną. Wieś Kladruby z istniejącym tam zwierzyńcem należała do dóbr owych. Kilka miast, liczne zamki i sto dwadzieścia siedm wsi stanowiły godny monarchy dar, nabyty przez stany czeskie od Jarosława z Persztyna za 200,000 kóp groszy (4<sup>1</sup>/<sub>4</sub> milionów guldenów).

Otóż, wspomniany zwierzyńiec w Kladrubach przeznaczono na pomieszczenie, to jest—na maszynię hiszpańskich koni króla.

Cesarz Rudolf II przemieszkiwał na zamku w Złotej Pradze; na równi z kwiatami, alchemią, astrologią lubił także konie, które sprowadzał z Hiszpanii, i zapewne niejedną cenną sztukę wcielił do gniazda kladrubskiego.

Nastąpiły czasy oplakane dla ludzi i koni: wojna Trzydziestoletnia, po której ukończeniu Niemcy dopiero we dwieście lat znowu miały tyleż ludności i zwierząt domowych, ile przed jej rozpoczęciem. Stado w Kladrubach musiało czekać na czasy lepsze.

Jakoż Leopold I zjeżdża do Pragi na koronację r. 1656, odwiedza Kladruby i troskliwie przykłada rękę monarszej do ulepszeń pepiniery. Miłośnik koni, zwolennik zapalony powszechnej już wtedy u Niemców jazdy maneżowej, cesarz ten w r. 1667, obchodząc uroczystość swych zaślubin z infantką hiszpańską, wyprawił był na dziedzińcu Burgu wiedeńskiego sławny balet rumaków—coś w rodzaju karuzelu Ludwika XIV. Piętnaście lat upłynęło od tego baletu i znakomitym ówczesnym jeźdźcom niemieckim zagroziła burza straszliwa jeźdźców wschodnich, którzy, mniej wytwor-

nie zażywając rumaków, pod murami stolicy wyzwali na harc krwawy świetnych rycerzy. Zagrożeni—rzecz dziwna—musieli sprowadzić pod Wiedeń innych jeźdźców, którzy dosyć powszechnie wydrwiwali akademię jezdecką, a jednak bieguny ich bojowe wykonały niesłychanie krwawy balet. Naprzód „w skok.“ potem „cwałem.“ a nareszcie „przecwałem.“ złożywszy kopie w pół ucha końskiego, natarła chorągiew królewicza Aleksandra i oparła się dopiero o namiot wielkiego wezyra; ale „w galopie“ odbyła się prezentacja wojska polskiego przed cesarzem.

Nie ulega chyba wątpliwości, że głównie cesarz Leopold I, w celu „odchowiania świerzop.“ do Kladrubów sprowadzał stadniki neapolitańskie i wogóle włoskie, które, jako większe, silniejsze, nadawały się teraz odpowiedniej niż hiszpańskie do ciągnięcia, zwykle sam-szóst, karet pańskich. Czasy się zmieniły! Dwór wiedeński, wobec arcywystawnego ceremoniału hiszpańskiego, potrzebował teraz już nie tylko mnogich koni kawalerskich zwinnych, ciekunów i biegunów żartkich, sudanych odlewanej kibici, chodziwych, dobrego gniazda, a wielkiej cudności i urody—„głowa jak u panny, pierś jak u wdowy, nóżka jak u dziecka.“

Ażeby godnie odpowiedzieć wymaganiom czasu—„noblesse oblige.“—utrzymać dwór wielki na stopie okazałości należytej, potrzebowano na wiedeńskim Burgu wiele a wiele koni kocznych, brożkowych czyli karecianych, które ręczym kłusem i ogromem swej statury zdumiewać musiały ciekawych widzów stolicy. Potrzeby dworu sięgały dalej; każdej uroczystości musiały towarzyszyć konie powodne, przez powodników prowadzone na powodzie; oprócz tego, podróże pańskie nie mogły się obywać bez koni podwodnych do przewozu juków, podjezdaków dla luzaków i ciurów, woźników uprzężnych, silnych w zadzie, twardych w karku, niezrażonych w pociągu. Takie to wymagania, zwałane na karb ducha „czasu.“ sprawiły, że w spokojnych Kladrubach krew hiszpańska spotkała się z włoską, bez domieszki podlejszej krwi parep, march, szewluch i bronowłoków demokracji miejscowej. Chów—są powody mniemać—nie był czysto alkierzowy czyli stajenny, ale także polowy, to jest dzień i noc konie spędzały pod odkrytym niebem.

Wiek XVI nie zdobył się na jasno określony plan hodowli hipicznej; w wieku XVII wojny nieustanne przeszkadzały wszelkim dziełom pokoju; przytem nauka Buffona wprowadziła zamęt w pojęciach XVIII w. o chowie koni. Uczony francu-



Klacz białe.

ski głosił mianowicie, że w krzyżowaniu, nie uwzględniając bynajmniej pochodzenia szlacheckiego, należy dbać jedynie o dobieranie osobników z wprost przeciwnych warunków klimatycznych: różnorodność odgrywała tu główną rolę. Całe Niemcy hołdowały temu pogładowi, więc może w gnieździe stadnem kladrubskim dawano krzyżowaniu pierwszeństwo nad doborem cech rodowych, nad związkami krwi w rodzinie.

Ale musimy sobie bliżej zdać sprawę z tego, jakie są dzieje obu krwi, z których powstało cesarsko-królewskie stado kladrubskie, jedyne dziś na świecie szczątki rodów świetnych, dotychczas zaopatrujące dwór wiedeński w konie paradne, okazałe, dodające uroczystościom tej pompy, jakiej wymaga wspaniała starożytna tradycja Habsburgów.

Hiszpania—„dives equis“—obfitowała w konie, które zapładniał wiatr zachodni; była kolebką pysznego andaluzyjczyka—dzianeta, księcia wierzchowców, kona „comme il faut“, który nadawał ongi ton i kierunek hodowli stadnej lądu stałego Europy. W starożytności znano i ceniono konie iberyjskie, głównie—jeden ich typ, odznaczający się chodem wyniosłym—„chód hiszpański.“ Z tymi końmi spokrewniły się naprzód konie Wandalów, Swewów i Alanów, później Wizygotów, a nareszcie—Maurów.

W krwi koni zapisały się dzieje kraju i narodu. Na drodze takich właśnie związków powinowactwa powstał przesławny dzianet, koń rycerski, który się chlubił na polu sławy i miłości człowieka. Gdzie on bo nie bywał! Można go widzieć pod Wilhelmem Zdobywcą, gdy na polach Hastingsu rozstrzygają się losy Anglii, występuje na turniejach, wjazdach i pogrzebach monarchów całej Europy; znajdujemy go w głośnych stajniach knyszyńskich Zygmunta Augusta. Abd-el-Rachman III i Almanzor położyli wielkie zasługi dla sprawy hodowli tych koni.

Wysoko ceniono dzianeta w Europie, jako konia bojowego, ponieważ posiadał urodę, łagodność i cierpliwość konia Północy, a zarazem rączosć i więź konia Wschodu.

Szkoda, że wiele przyczyn spiknęło się na jego zagładę, a ostateczny już cios zadała mu wprowadzona do Hiszpanii moda jazdy maneżowej. Ta jazda wymaga ruchów skróconych, mierzonych na tempa, nie ćwiczy siły mięśni, potęgi płuc, energii stawów. Jest to więc jakby sprowadzenie konia z drogi właściwej, wskazanej mu przez przyrodę. Ojczyzna wielkich zdobyczy i odkryć morskich tak skarłała nareszcie, że wykopała grób dla koni wogóle i przesiadła się na osły. Jakby duch pomsty dziejowej za krzywdę, za zniewagę wyrażoną nosicielowi enót rycerskich, przybyły

centaury z Północy i w wąwozie Sommo-Sierra ujrzano straszliwy odwet, niebывały harc konny, który dowiódł światu, że męstwo człowieka musi siedzieć na koniu.

Przenieśmy się teraz do rozkosznej ojczyzny odrodzenia nauk i sztuk, ale także—kondotyerów i sztyletów skrytobójczych. Ha, bo krew, grzana przez słońce Południa, to nie woda!

Starożytność znała liczne konie włoskie: etruskie, kalabryjskie, sycylijskie, weneckie. Konie neapolitańskie zasłynęły na całym półwyspie, i sława ich rozeszła się szeroko po świecie; łączyły one bowiem w sobie wszystkie przymioty pożądane: urodę niepospolitą, wdzięk wielki i łagodność obok więzi cudnej. Nadawały się tedy doskonale do pełnych wykwinu pociągów i do jazdy maneżowej, podbiły rzec można—Europę. Nie były one z tych, co to dopóty się zachają, koźle czynią skoki, póki jeźdźca nie zmiotą.

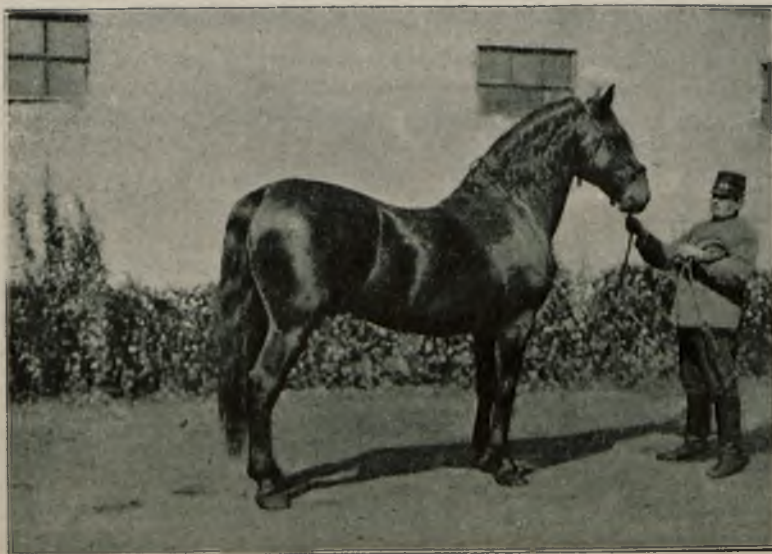
Drogo płacono konia, który w dalekim saltie na powietrzu w zad wybijał. U nas odróżniano wyprawę źrebca usarską przy ziemi od włoskiej „in alto“, gdy koń co z góry robi. Pierwszy—to jako żak—co czyta, a ten co z góry, to jako mistrz, który i łacinę rozumie!

W wieku XVII nakłaniał Polaków do wysokiej jazdy kalwakatorskiej Krzysztof Dorohostajski h. Leliwa; ale ogół szlachty był zdania, że syn szlachecki nie ma potrzeby we Włoszech u kalwatora uczyć się tego, czego mógł w domu. Jednakże w XVIII wieku rozpowszechniła się jazda maneżowa; koń zwrotny, że woltę na talerzu zwinąć potrafił, zastąpił dawnego bieguna. Pod koniec zaś tego wieku wchodzi do nas jednocześnie i koń angielski, a z nim upowszechnia się tlómaczona z angielszczyzny nazwa „kasztan“, zamiast „cisawy.“

Konie mantawskie, neapolitańskie i inne włoskie wprowadziła do Polski, razem z psami włoskimi, prawdopodobnie Bona. Odtąd panowie, zawołani miłośnicy sztuki jeźdeckiej, sprowadzali sobie z Włoch konie. Tak naprzykład Tomasz Zamojski, syn Jana, na zasadzie pozwolenia, którego mu udzielił wice-król neapolitański Ossuna w r. 1616, sprowadza z tego królestwa wiele koni.

Zarówno krew hiszpańską, jak włoską, płynącą w żyłach stada kladrubskiego, znano bardzo dobrze w Polsce i utrzymywano obok koni wszelkich gniazd, uznanych w świecie za dzielne.

Konie w Kladrubach są na czarno i na białe, mają chód uroczyście poważny, któremu towarzyszy jakby świadoma sobie „grandezza.“ Typ na czarno—wronych—można jeszcze spotkać niekiedy po stajniach włoskich książąt Kościoła. Mają one czoło i grzbiet nosa nieco ku przodowi wygięte (halbe Ramsköpfe), szyję wysoko wzniesioną łabędzią, pierś umiarkowanie głęboką a szeroką, nogi wogóle wysokie, u góry muskularne, pęciny



„Napoleon“



„Sacramento.“

długie i miękkie. Akcja pełna wystawnej okazałości wyraża się w licznych okrągłych ruchach barków i kolan. Spojrzenie wielkiego wypukłego oka ciemnego, szeroko osadzonego w oczodole, ma właściwy sobie wyraz, który mu nadaje bardzo wydatne połyskiwanie białka: uderza to w koniu. Wysokość waha się między 165 a 190 centymetrów. Szlachetność, pogoda swobodna, pojętność jednoczą się w tych koniach z urodą okazałą.

Białe potomstwo drysia Generała zwykle przychodzi na świat ciemno-szpakowate, a w czwartym, najpóźniej w siódmym roku staje się białe srebrno-połyskujące. Maształnia w Kladrubach istnieje od trzech wieków z górą; ale podczas wojen, kiedy nieprzyjaciół, zawsze chciwy takiego łupu jak konie, plondrował po kraju, wprowadzono stąd stado do Węgier. Obecnie na czele tego starożytnego gniazda stoją cztery stadniki, „ogry, dryganty,” jak mówiono dawniej: dwa białe—Generał i Generalissimus, dwa wronie—Sacramoso i Napoleon.

Liczba świerzop, czyli matek, jest dwadzieścia sześć, nie licząc „komonic,” to jest jałowych. I tu także maść u jednej połowy tej liczby—biała, w drugiej—wrona. Trzeba bowiem wiedzieć, że c.-k. marszałek dworu musi zawsze mieć pod ręką, na wypadek ceremonii występu uroczystego, dwa zaprzęgi, każdy w osm ogierów białych, i takie same dwa—wronych.

Jest więc maształni kladrubskiej zadaniem nieustannie dopełniać liczbę owych trzydziestu sześciu ogierów paradnych, tak, ażeby Burg miał zawsze konie, odpowiadające wymaganiom. Rozumne woźniki, czując na sobie ciężką, złocistą uprzęż, ochoczo ciągną okazałą karetę dworską, popryskują szumno i w łagodnym trucheie cudnym nóg wyrzutem zachwycają oko widza.

Wymaga się zaś od takich koni nie tylko wspaniałej urody, statury co się zowie, szlachetności i wysokiej akcji w chodzie lekkim, wytwornym; lecz także zachowania doskonałej proporeyi w doborze osobników, co nie zawsze daje się osiągnąć w hodowli z łatwością.

Niezależnie od koni, o których tu mowa. Kladruby, liczące dziś w swem stadzie 424 sztuki, prowadzą także hodowlę koni angielskich; jest to już gniazdo nowożytnie—„equi novi”—a wiadomości o nich bliższe pozostawiam pióru bieglejszych niż ja hipologów. Tylko osobliwość typu gniazda kladrubskiego starego pobudza mię do zwrócenia nań uwagi czytelnika. Jeżeli bowiem niejedyn miłośnik przeszłości słusznie przywiązuje znaczenie do zbioru numizmatów, bronzów, skorup z pewnej epoki dziejowej, to zaprawdę nie może być bez interesu gniazdo koni stylowych, z wielkim

nakładem pracy ludzkiej od tylu lat pielęgnowane starannie.

Na widok tych koni przypominają się świetne czasy sztuki dekoracyjnej: smalkownych mebli, karet i lektyk, wytwornie malowanych, posążków porcelanowych, tabakierek i zegarków wysadzanych drogimi kamieniami. Była to epoka konwenansu, który wzbrania poetom używać wyrazów nieszlachetnych, jak np. osieł; filozofowie i obłudne wielce stosunki międzynarodowe gromadzą materiał dla późniejszej teorii politycznej wielkiego kanclerza Niemiec.

Silne wrażenie sprawia spokojna, okazała, pełna jakiegoś namaszczenia, uroczystego wdzięku postać kladrubczyka.

Ten koń zdaje się wyraźnie przemawiać: „*Time is not money!*” Główną rzeczą jest dbać o przyzwyczajenie i o szlachetną gracyę, a reszta nie mię wcale nie obchodzi!”



„Generał.”

Cóż na to odpowiedzieć tak srodze zacofanemu wstecznikowi? On przecież jest głuchy i nie słyszy dokoła siebie wołań na wsze strony: „Koniu rokokowy, *go on! Go on!*... Minęły bezpowrotnie czasy warkocza, pęki i pudru... - *Go on! Time is money!*”

Uparty, nie słyszy! A tu hasło świata całego huczy: *Go on!*..

O, to nie karuzel między Luwrem a Tuileryami w pięć koni-skich kadryłów! Kula ziemską zamieniła się na wielki hipodrom wyścigowy, po którym cała ludzkość pędzi i pędzi na złamanie karku: jedni rwą naprzód o siłę pary i elektryczności, inni na koniach, na welo-cypedach, nawet—na zwyżkach i niżkach giełdowych. Oni pędzą tak szybko, tak się śpieszą, że po największej



„Generalissimus.”

części nie mają czasu pomyśleć nietylko już o przyzwyczajeniu i szlachetnej gracyi, lecz o wszystkim, co stanowi rzeczywistą ozdobę człowieka.

Ha, może i z naszych czasów przechowa się w odległej przyszłości zacisznie jakie gniazdo stadne, które w XXIV wieku opowie potomnym o obyczajach pra-pra-ojców! Zapewne i wtedy konie przeszłości będą uparcie głuche na hasła nowe.

Na zakończenie tego pobieżnego opowiadania o stadzie kladrubskim, poczuwam się do miłego obowiązku wyrażenia wdzięczności panu Rudolfowi von Vieten, który, pod nieobecność głównego c.-k. koniuszego, raczył nas w Kladrubach gościć i obwozić po terytoryach stajennych.

Niemniej należy się ode mnie podziękowanie szczere za doskonale fotografie koni panu Ruda-Bruner-Dworzakowi, fotografowi Jego Wysokości księcia Franciszka Ferdynanda z Este.

### Profesor Hans Delbrück.

Niewielu jest chyba czytelników, sprawami krajowemi się interesujących, którymby to sympatyczne nazwisko było obce. Nosi je bowiem człowiek, co w imię sprawiedliwości i bezstronności miał i ma odwagę jawnie i bez ogródki piętnować oszczerstwa, gwałty i nieludzkie czyny hakatystów, lub tych wszystkich, którzy rzekomo pod płaszczykiem prawa, ba, nawet bez niego, prześladują ludność polską w Poznańskiem.

Hans Delbrück, profesor historii na wszech-nicy berlińskiej i od lat kilkunastu redaktor rocz-ników statystycznych („Preussische Jahrbücher”), stanowi wielką w Niemczech powagę. Waleczy on faktami i cyframi na poparcie swych wywodów, które wysnuwa z nieubłaganą konsekwencją ku wielkiemu utrapieniu junkiersko-hakatystycznej kliki.

Umysł niezmiernie ścisły, z dziejami w ręku, z których umie wyciągać naukę dla obecnych pokoleń, oddawna już waleczy w imię zasady: „*Pe-reat mundus, fiat justitia!*”—i dał się poznać przede-wszystkiem przez swój krytyczny i historyczny rozbiór działalności znanej komisji kolonizacyjnej z jej stu milionami, na rozkaz Bismarcka z fundu-szów państwa zaczerpniętymi.

To, co Delbrück z góry przepowiedział, po upływie lat szeregu, z całą sprawdziło się ścisłością. Twierdził on, że pomijając brak wszelkich podstaw moralnych w bismarkowskiej instytucyi, nie może ona doprowadzić do celu, bo kilkumilio-nowego narodu z wielowiekową kulturą i wybitną dziejową przeszłością zdławić się nie da; że wyni-



Na pastwisku.

ki praktyczne nie mogą być nigdy poważne, że ten system wywłaszczenia odwiecznego żywiołu tylko na karność tego żywiołu, zorganizowanie się i społeczeństwo samoobrony wpłynąć może.

Nie ulega wątpliwości, że uczone ten pragnąłby potęgę swego państwa, lecz nie taką drogą, jaką ono dziś kroczy, zdobytej, i że chyba dla nas nie żywi jakichś wyjątkowych sympatii, lecz jeśli działa, to działa w imię sprawiedliwości i bezstronności. Na dowód tego można przytoczyć ten fakt, że gdy niedawno zaczęto postępować w Niemczech z Duńczykami tak, jak postępowali i postępują z Polakami, znowu Delbrück się odezwał, a głos jego okazał się dla krzyżacko-pruskich wszystkicherców tak niemiły, że podjęto ogrom wysiłków, aby na podstawie prawa (sic!) do Delbrücka się przyczepić i nareszcie raz go zmusić do milezenia.

Chciano go podobno nawet katedry pozbawić, a przynajmniej przenieść na inną posadę, aby choć Berlina nie zarażał. Ale Delbrück rozwijał i rozwija swą działalność profesorsko-piśmienniczą na gruncie legalnym, a nadto jego lojalności ku utraپieniu interesowanych nie zarzucić nie można. Co smutne, że nawet sam pan minister sprawiedliwości brał udział w tej niecnej machinacji.



Profesor Hans Delbrück.

Dobrą stroną działalności Delbrücka jest jeszcze i to, że ośmielił on innych, również w imię prawdy działać pragnących, a do takich należy przede wszystkim Wagner, autor znanej broszury, zatytułowanej: „Kołowacizna antypolska“ („Polenkoller“), można bowiem przypuścić, że tylko śmiałe wystąpienie tak poważne stanowisko, jak Delbrück, zajmującego człowieka podały pióro do ręki Wagnerowi.

Istotnie, trzeba mieć wielką odwagę, aby wśród stada pruskich naganiaczy podnosić głos w sprawie, stanowiącej prawdziwe dla Niemców „noli me tangere.“

Tacy ludzie, jak Delbrück i Wagner, warci są uznania i wdzięczności z naszej strony. Podając więc wizerunek Delbrücka, mniemamy, że czynimy zgodnie z uczuciami sympatii dla zasłużonego człowieka, które nasi czytelnicy niewątpliwie z nami podzielą.

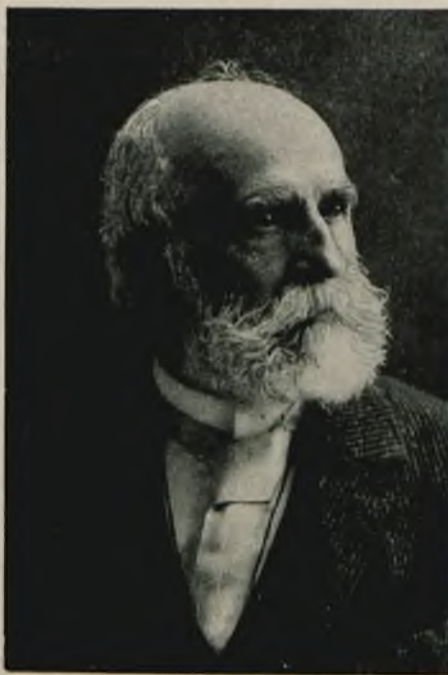
T. I.

## NASZE RYCINY.

—

*Pałac konferencyj pokoju.* W zeszłym numerze podaliśmy naszym czytelnikom widok ogólny pałacu w Hadze, gdzie w dniach ostatnich rozpoczęły się właśnie obrady międzynarodowej konferencyj pokoju. Sądzymy, że obecnie każdy chętnie zapozna się z kilku szczegółami, dotyczącymi zabytków sztuki, które pałac ten zawiera. Od stro-

ny ogrodu, przez pojedynczy westybul, wchodzi się do sali jadalnej dworca, ozdobionej przepysznyimi płaskorzeźbami Jakóba de Witt. W sali tej godnym widzenia jest zbiór staro-japońskiej i starodelfkiej porcelany, umieszczonej w wielkim kredensie. Kosztowne zabytki pałacu (z wyjątkiem sali Orańskiej) składają się głównie ze wspaniałych skarbów kultury wschodnio-azyatyckiej. Trzy następne sale są prawdziwym muzeum sztuki chińsko-japońskiej. Zgromadzono tam wszystko, co tylko Wschód posiada drogiego pod względem estetycznym. Najświetniejszym miejscem w dworcu całym jest sala Orańska, gdzie zasiadają przedstawiciele państw do obrad pokojowych. Sala opatrzona jest ośmiokątną kopułą, gdzie znajdują się słynne malowidła ucznia Rubensa, Jordaensa. Prócz obrazów Jordaensa, znajdujemy tam i dzieła innych uczniów tego mistrza, mianowicie de Bray'a, Grebbera, Honthorsta i innych. Obrazy posiadają taką świeżość kolorytu, iż wydaje się, jakby wczoraj, dziś były ukończone. Wyobrażają one żywot i dzieła księcia Fryderyka Henryka. Stosownie do panującej w owe czasy manieri malarzkiej, spotykamy tu nadzwyczajną mieszaninę szczegółów z różnych epok i stylów: czasy nowsze i zamierzchnia starożytność, cuda Wschodu i Zachodu, mitologia w zakresie jak najszerszym, kostiumy wszystkich niemal czasów, wszystko to tworzy razem piękną, harmonijną całość. W głównym malowidle Jordaensa i w obrazach jego treści alegorycznej odnajdujemy wszystkie cechy charakterystyczne tego najznakomitszego ucznia Rubensa, który stał się twórcą holenderskiego malarstwa rodzajowego. Pomimo nieszczęśliwego oświetlenia sali, która światło otrzymuje przez okna niewielkiej galeryi, znajdującej się w kopule, obrazy te nie tracą niemal nic i są jedną najwybitniejszych kart w historii malarstwa w Holandii. Widok tej sali znajdują czytelnicy w numerze obecnym. Drzwi wchodowe do Sali Orańskiej również zasługują na szczególną uwagę. Wyobrażają one boginię Palladę i Herkulesa, którzy z wysiłkiem niezmiernym otwierają drzwi przed Pokojem, zstępującym z Olimpu. Pokój wyobrażony jest w postaci młodej i pięknej dziewczycy, w tunice białej, z girlandą na głowie. Trzyma ona w ręce prawej wianek laurowy, w lewej zaś gałązkę zieloną, symbol pokoju.



Książę Roman Sanguszko.

*Nowy właściciel zakładu klimatycznego „Sławuta.“* Wobec zbliżającego się sezonu leczniczego, dla potrzebujących kuracji kumysowej lub hydro-

patycznej nie będzie obojętną wiadomością, że znany już od lat wielu zakład klimatyczny w Sławucie na Wołyniu, zmienił właściciela. Nabył go książę Roman Sanguszko, dziedzic olbrzymich majątków, fabryk i zakładów przemysłowych. Sądzymy, że ta zmiana tylko na korzyść Sławucie wyjść może; przypuścić bowiem należy, że jeśli właściciel tak olbrzymiej fortuny zechciał się tem miejscem kuracyjnym zainteresować, to w tym względzie powodowała nim chyba nie jakaś chęć natychmiastowych zysków, lecz poczucie obywatelskie i szczerą chęć podniesienia tego zakładu dla dobra ogółu, oraz postawienia go na stopie, godnie odpowiadającej nazwisku, jakie właściciel nosi. Książę Roman Sanguszko znany jest jako jeden ze wzorowych, a przytem niezmiernie pracowitych gospodarzy. To jedno już daje gwarancję, że i nowonabytym zakładem się zaopiekuje. A czegoż więcej potrzeba, gdy nie zbywa na dobrej woli i środkach, których mu los tak szczerze udzielił? O Sławucie pisaliśmy już niejednokrotnie, więc rzeczy znanych nie powtarzamy; dodać tylko należy, że głównym kierownikiem tak, jak i w ciągu ubiegłych lat kilkunastu, jest d-r H. Dobrzycki, oraz obecny lekarz domowy księcia Sanguszki, d-r Dzierzbicki.



Henryk Becque.

*Henryk Becque.* W dniu 12 maja zmarł w Paryżu jeden z najpoważniejszych przedstawicieli sztuki dramatycznej we Francji, Henryk Becque. Imię jego znane było i po za granicami kraju ojczystego, i rzecz szczególna: za granicą miał on większe stosunkowo uznanie, niż we Francji. Pomimo bowiem niezaprzeczenie dużego talentu, Becque nigdy nie cieszył się t. zw. powodzeniem powszechnem. Przyczyna tego główna leży w głębokości jego umysłu, który nie chciał się naginać do wymagań publiczności, goniącej za sensacją i banalnymi efektami scenicznymi. Dlatego też autor ten przez całe życie „klepał biedę,“ co się zowie, i zmarł w zupełnym niedostatku. W sferach literackich cieszył się zmarły ogromną sympatią. Wszyscy jego współbracia po piórze cenili wysoko zarówno zdolności Becque'a, jak i jego charakter. Do najwybitniejszych utworów tego pisarza należą: „Les Corbeaux“ i „La Parisienne.“

*Róża Bonheur.* We Francji zmarła najwybitniejsza malarka zwierząt, Rosa Bonheur. Ur. w roku 1822, od dzieciństwa okazywała szczególne zamiłowanie do rysunków, oddając się z zapalem szkicowaniu ołówkiem przedmiotów, jakie się jej uwadze nasuwały. Rysowała towarzyski zabaw swoich, szczególnie zaś zwierzęta, a we wszystkim już wówczas można było zauważyć pewną szczególną charakterystykę, pewną umiejętność nadawania właściwego wyrazu i ruchu rysowanym przedmiotom. Z biegiem czasu talent



wrodzony Róży Bonheur rozwijał się coraz silniej, i wreszcie w r. 1840 poczynił zbierać owoce swej pracy: w tym czasie z pod pędzla jej wychodzi pierwsza większa kompozycja p. t.: „Deux lapins“, którą sędziowie przyjmują na wystawę Salonu paryskiego. Obraz ten oczywiście nie był arcydziełem, lecz tkwiła w nim istotnie wielka siła młodej artystki wróżyć świetną przyszłość. Rzeczywiście, postępy od tego czasu idą w tempie zdwojonym; wyrazem ich jest naprzód, r. 1845, medal 3 klasy, a potem 1848 medal 1 klasy, największy zaszczyt, jaki podówczas mógł spotkać artystę we Francji. Sława jej rośnie, przechodzi poza granice Francji i rozchodzi się po całej Europie. Gdy w r. 1865 zmarł słynny pejzażysta Troyon, Róża Bonheur zajmuje w malarstwie opróżnione po nim miejsce. Zdobywszy sobie już uprzednio uznanie szerokich kół publiczności, prowadzi dalej dzieło tego samorodnego geniuszu malarzkiego, w kierunku specjalnym—malarstwa zwierząt. W krótkim stosunkowo przeciągu czasu wyrabia w sobie rutynę, dzięki której w oczach mas uchodzi za talent potężniejszy od Troyon'a. Wykończyła bowiem swe prace w tem znaczeniu, w jakim obrazy Troyon'a wydawały się niewykończone. Była to oczywiście rzecz pracowitości, nie zaś talentu. Ale dzięki właśnie tej pracowitości Róża Bonheur zyskała olbrzymią sławę, kiedy Troyon cieszył się uznaniem za ledwie kółka istotnych miłośników sztuki. Swoją drogą talent jej wciąż się rozwijał, i chociaż krytyka wyznaczyła jej miejsce za ledwo po Troyon'ie, swoją drogą trzeba przyznać, że jest to jedyna kobieta sława tego wieku, która obrazów swoich „nie dłużej, lecz maluje.“ Rysunek jej odznacza się zawsze poprawnością i sumiennością. Z.



Róża Bonheur.

*Nieznane dzieło Velasqueza: Portret dziecka (1599 † 1660).* O dawnych losach przedstawionego tu obrazu, kupionego na rynku w Moskwie, nie się dotychczas powiedzieć nie daje, poważne zaś jego pochodzenie wykazało się w czasie restaurowania go w pracowni niżej podpisanego, wtedy bowiem tylko ostrożne zdjęcie olejnej farby, którą w barbarzyński sposób był przemalowany, pozwo-

liło przekonać się, że nie tylko skomponowanie i charakter malowidła uległy zmianie, lecz i podpis autora zginął zupełnie. Po usunięciu samowolnych przeróbek, odnaleziono: draperyę stanowiącą tło, (zamalowaną jednostajnym kolorem), dwie duże niebieskie kokardy na czepku, (zamienione zielonemi piórami), kokardę na ramieniu, (pokrytą kolorem tła), i podpis: D. D. Velasquez d. S. P. (Don Diego Velasquez de Silva pinxit). Reprodukcja wyobraża obraz oczyszczony tylko częściowo, t. j. wtedy, gdy prawa strona z ręką, połówką figury i jedną kokardą na czepczku jeszcze nie wróciły do pierwotnego stanu. Portret dziecka, mający 73 × 57 centymetrów, wyobraża dwuletnią dziewczynkę, przypominającą podobieństwem infantkę Małgorzatę, córkę Filipa IV, króla hiszpańskiego. To nieznane dotychczas dzieło Velasqueza, posiadające wszystkie cechy jego robót, przy zupełnej świeżości ciała i dobrem zachowaniu się koloru wszystkich farb, straciło jednak, skutkiem nieodpowiedniego oczyszczenia i zmycia, ostatnie śmiałe, szerokie dotknięcia, wyróżniające tego wielkiego mistrza. Ma ono i inne widoczne nawet na reprodukcji uszkodzenia. A. Borawski.

### Od administracji.

**Łaskawych przedpłacicieli naszych upraszamy o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartały następne „Tygodnika,” dla uniknięcia zwłoki w odbiorze pisma.**

## Kronika powszechna.

### Ze spraw kościelnych.

#### LIST PASTERSKI.

W archidiecezyi warszawskiej księża odczytali z ambon następujący list pasterski:

*Wincenty Teofil Cheściak-Popiel, z Bożej i Stolicy Apostolskiej łaski arcybiskup metropolita warszawski, pralat domowy i asystent tronu Jego Świętobliwości.*

Wszystkim wiernym archidiecezyi naszej pozdrowienie w Chrystusie i pasterskie błogosławieństwo. Spadająca na ludzi niedola, jak z jednej strony jest dopuszczeniem Bożem, tak z drugiej budzić powinna w sercach innych uczucia miłosierdzia braterskiego. A braćmi naszymi są nie tylko ci, wśród których żyjemy, ale choćby i najdalsi, oddzieleni od nas odległością miejsca. Kiedy zaś nieszczęście lub cierpienie ich przygniata, nabierają szczególnego prawa do naszego współczucia i pomocy. „Dajcie, a będzie wam dano“ (Mat. V)—uczy nas Zbawiciel. „Błogosławieni miłośni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią“ (Mat. 16). Oto wskazówki dla prawych chrześcijan, jak mają pojmować swe względem bliźnich, niewiedzących nieszczęściem, powinności. A właśnie w odległych od nas okolicach, ale objętych granicami tegoż państwa, w gub. Samarskiej, Orenburskiej, Kazńskiej i innych, sroży się głód, wywołany nieurodzajem, i klęska dotknęła setki tysięcy osób. Ze wszystkich stron, za przykładem Najjaśniejszych

Państwa, płynie pomoc; ktokolwiek ma serce, nieobojętne na cierpienie ludzkie, kto jest chrześcijaninem nie tylko w imieniu, ale i w czynie, niesie swój dar na kęs chleba dla tych, którzy go łakną. I nam, bracia, nie wolno patrzeć bez współczucia na ten bolesny widok ludzi, nie mogących z głodu i braku sił zabrać się do pracy, a może i nie mogących jej znaleźć, na rozpacz matek, gdy nie mają kawałka chleba dla swych dzieci. Nie doznając z łaski Bożej tego nieszczęścia, nie spotykamy koło siebie tych bolesnych obrazów nędzy i za nią idącej rozpacz. Ale tem więcej właśnie poczuwać się winniśmy do podzielenia się z onymi nieszczęśliwymi choć trochę tych dóbr, których nam udzieliła Opatrzność. Dajmy przeto, co kto może, składajmy swój grosz przez miłość bliźniego na pokarm dla zgłodniałych, a Chrystus Pan, który powiedział, iż kubek zimnej wody, w imię Jego podany, nie zostanie bez nagrody, sownie nam zapłaci za naszą ofiarność, w sercach zaś naszych pozostanie uczucie zadowolenia, żeśmy otarli łzę nieszczęśliwego, i czyn miłosierdzia zalecamy imci księdzu proboszczowi, aby po kazaniu zbierał od was ofiary, a wiernym, aby mu je składali, które w następstwie nam przyśle, a my gdzie należy damy.

† Wincenty.

### Z muzyki kościelnej.

Zarząd Sekcyi Kościelnej przy Warszawskim Towarzystwie Muzycznym ogłasza, że egzaminy roczne w szkole gry organowej odbywać się będą w dniach 12 i 13 czerwca od godziny 9<sup>1/2</sup> rano. W dniu zaś 15 czerwca odbędzie się zakończenie roku szkolnego. Posiedzenia Zarządu w lokalu Towarzystwa Muzycznego o godz. 7 wieczorem. Sekcja muzyki kościelnej, podobnie jak lat poprzednich, urządza w roku bieżącym dla organistów kursa dwutygodniowe, które się rozpoczną w dniu 13 czerwca o godz. 11 rano. Przybywający na kursy powinni mieć: „Compendium Gradualis,” albo antyfonarz, „Psalterium vespertinum,” „Magister choralis,” oraz egzemplarz pieśni św. Wojciecha „Bogarodzica.” Kursom przewodniczyć będzie ks. Eugeniusz Gruberski, wice-prezes Sekcyi kościelnej, przy pomocy profesorów klasy gry organowej. Program kursów będzie obejmował naukę śpiewu gregoriańskiego (unisono), śpiewu kilkugłosowego i pieśni kościelnych w języku polskim, oraz wogóle wiadomości teoretyczne. W ostatnim dniu kursów, organisci wykonają mszę i pieśń „Bogarodzica.” Każdy zapisujący się na kursa obowiązany jest złożyć rub. 2 (dwa).

### Osobiste.

Kierownik literacki naszego pisma, p. Ignacy Matuszewski, wyjechał na czas dłuższy na kurację.

### Polityka.

W chwili, gdy niniejszy numer *Tygodnika* dojdzie rąk czytelników, będzie już rozstrzygnięta kwestya rewizyi procesu Dreyfusa. Publiczne posiedzenia sądu kasacyjnego w tej sprawie rozpoczęły się w poniedziałek, ale potrwają do końca tygodnia. Referent sprawy, Ballot Beuprè wnosi, aby sąd kasacyjny orzekł rewizję sprawy i oddanie jej pod rozpoznanie nowego sądu wojennego. Zdaje się, że ten wniosek będzie przyjęty.—Równocześnie ze sprawą Dreyfusa rozpoczął się w Paryżu proces Deroulède'a i Haberta o podburzanie wojska do buntu. Ten drugi proces potrwa zapewne krócej. Obok tych dwóch spraw, stolica Francji interesowała się dużo przybyciem z Afryki Marchand'a, którego podejmowały demonstracyjnie wszystkie partje, gdyż i opozycyoniści, owacyonując Marchand'a za jego wyprawę do Faszody, sądzili, że tym sposobem zrobią na złość rządowi, który pozbył się tejże Faszody.—Przesilenie austro-węgierskie nie może się ruszyć ani krokiem naprzód. Położenie jest dla ustroju dualistycznego wprost rozpaczliwe. Rada koronna, odbyta pod osobistym przewodnictwem cesarza, spełzała na niczem; ma się odbyć druga, ale wątpliwe jest, czy z lepszym skutkiem.—W Hiszpanii zakończył życie Emil Castelar, głowa stronnictwa republikańskiego, mąż wielkiego charakteru i nauki, szanowany przez



Emil Castelar.

wszystkie sfery. W czasie krótkiego żywota rzeczywistej hiszpańskiej Castelar był jej duszą. Żył lat 67.

#### Konferencja w Hadze.

Według dotychczasowych danych, narady delegatów państw nad kwestyą ograniczenia uzbrojeń i umocnienia pokoju powszechnego, potrwać mają do 20 czerwca. Sprawozdania luźne i dorywcze, ogłaszane w dziennikach, niewielkie, jak dotąd, przedstawiają zainteresowanie, materiału bowiem faktycznego dotychczas jest bardzo mało. Niemniej przeto konferencja stanowi wybitną aktualność chwili politycznej, a wzrok całego świata jest na nią zwrócony.

*Tygodnik* uwzględni dziś również ten interesujący przedmiot. W części ilustracyjnej damy wewnątrz wspaniałej sali Orańskiej, której opis również mają czytelnicy, na tem zaś miejscu sięgamy nieco w przeszłość.

Rząd holenderski, z powodu zebrania się konferencji pokojowej, ogłosił szereg dokumentów historycznych, dających niejako wyobrażenie o stopniowym rozwijaniu się idei pokoju. Są to wspomnienia ciekawe.

Książę Metternich jeszcze w roku 1816 opracował memoriał, zalecający porozumienie się mocarstw w celu zmniejszenia liczby wojsk, stających pod bronią, oświadczając, iż rząd austriacki z całą gotowością przyłoży się do tego dzieła. Cesarz Aleksander I korespondował nawet w tym przedmiocie z lordem Castlereagha, właściwie bowiem inicjatywa w tej sprawie wyszła z Anglii; niestety jednak, urzeczywistnienie projektu napotkało poważne przeszkody.

W roku 1862 plany te wskrzesił Napoleon III, wystosowując przez ministra Drouin de l'Huys słynny list do panujących w Europie, w którym wykazywał nadwreżone, lub całkiem obalone umowy traktatu wiedeńskiego z 1815 roku, oraz niebezpieczeństwa grożące z tego powodu. Dla zażegnania ich, proponował zebranie się kongresu międzynarodowego w Paryżu; projekt ten jednakże upadł.

Następnie wielu uczonych, jak Belgijczyk Rolin-Jacquemyns, Francuz Bastiat, Szkot Lorimer, pracowało teoretycznie nad rozwinięciem tej myśli, ale aż do sierpnia r. z. żaden z panujących idei pokoju nie poświęcił większej uwagi, nie zainteresował się nią

seryo. Uważając ją poprostu za fikcję, ograniczano się usiłowaniami zmniejszenia okropności wojny, przez zawieranie międzynarodowych konwencji (genewska w 1864 roku, petersburska w 1868 r. i brukselska w 1874 r.).

Jakiś czas wprawdzie zajmowały uwagę rządów sady rozjemcze, uchwały jednak w tym przedmiocie nie dochodziły do skutku. Lord Clarendon na kongresie paryskim w r. 1856 proponował, aby dołączyć zastrzeżenie do art. VIII traktatu pokoju, że w razie wybuchu ponownego zatargu między Portą a którymś z państw, należy uciec się do pośrednictwa trzeciego, zaprzyjaźnionego z nimi mocarstwa, ale wniosek nie doczekał się uchwały. Później, w 1890 r., Stany Zjednoczone Ameryki północnej gorąco zajmowały się sprawą załatwiania zatargów za pośrednictwem sądów rozjemczych i w tym celu starały się o podpisanie traktatu z innymi amerykańskimi republikami, ale i ten projekt do skutku nie doszedł. Dopiero w roku 1897 dnia 11 stycznia pierwszą taką umowę, formalną i prawnie obowiązującą na lat pięć, zawarły Stany Zjednoczone z Anglią.

#### Z prasy polskiej.

*Kronika Rodzinna* pod nową redakcją rozwija się coraz pomysłniej i wykazuje wielką ruchliwość. W Nr. 10 spotykamy: „Gdzie źródła frazeologii?“ „Znaczenie pracy w świetle wiary“ przez ks. d-ra Szczeklika; „F-ra Giovanni Angelico di Fiesole“ przez ks. A. Bryczyńskiego; „Równe prawa“ przez d-ra Tchórznińskiego; „Odrodzenie katolicyzmu w Anglii;“ „Wrażenia z wycieczki gospodarczej po Ks. Poznańskim, Niemczech, Francji i Czechach“ przez

C. P. Z. „Miesiąc Matki Boskiej“ przez ks. Ignacego Charczewskiego; „Na dalekim Wschodzie“ przez A. L.; „Zadanie wychowania rodziny“ przez J. Teodorowicza. — *Wszelświat*: „Rozwój elektrochemii i teorya elektrolizy“ przez E. Krasuskiego; „Znaczenie układu limfatycznego w zjawisku odporności organizmu przeciw zakażeniom“ przez d-ra A. Landego. — *Tygodnik Polski*: „Sztuka“ przez Szarotą; „Charakter postaci niewieścich w utworach Juliusza Słowackiego“ przez Stanisława Ostrowskiego.

#### Zmarli.

*Ks. Paweł Krzysztożyk.*

W poprzednim numerze wyraziliśmy słowa uznania proboszczowi częstoborowickiemu, księdzu Krzysztożowi, za zachowanie cennej pamiątki po królu Janie III Sobieskim, jaką jest podany w tymże numerze *Tygodnika* wizerunek Matki Boskiej. Obecnie przychodzi nam skreślić wspomnienie pośmiertne o tym kapłanie, który w ubiegłym tygodniu rozstał się przedwcześnie z tym światem. Ś. p. ks. Krzysztożyk urodził się w roku 1843. Na kapłana wyświęcony był w r. 1866 w Lublinie. Długi czas przebywał na wikaryacie w miasteczku Bełżycach przy ś. p. pałacu Antulskim, którego był powiernikiem i najlepszym przyjacielem. Po śmierci jego został proboszczem tej para-



Portret dziecka Nieznane dzieło Velasqueza

fii, a przed laty pięciu władza duchowna przeniosła go do większej parafii, Częstoborowice. Zmarły odznaczał się zawsze niezwykłą pogodą umysłu i wielką łatwością rymowania. Często potoczną rozmowę prowadził wierszem i z tego powodu sąsiedzi-kapłani nazwali ks. Krzysztożyka — Baką nowoczesnym. Dla zalet swych był lubiany przez wszystkich. To też przedwcześnie zgon tego kapłana wśród znających go wywołał żal szczery.

*Ks. Barzyński.* W Chicago zmarł ś. p. ks. Wincenty Barzyński, prowincjał OO. Zmartwychwstańców w Stanach Zjednoczonych, proboszcz parafii polskiej ś. go Stanisława w Chicago. Ś. p. ks. Barzyński był rodem z Suliśławie, w gub. Radomskiej. Po wyświęceniu na kapłana i po kilkoletnim pobycie w Rzymie, wysłany do Ameryki, pracował najpierw w Texasie, a potem od roku 1868, w ciągu przeszło lat 30, w Chicago. Od paru lat dotknięty cierpieniem piersiowym, zmarł w szpitalu braci Aleksyanów. Liczył wieku lat 60.

#### Z Kalisza.

*Wystawa obrazów.*

W Kaliszu otwarto niedawno wystawę obrazów artystów naszych. Jak nam donoszą, całość, składająca się ze 130 płócien, przedstawia się zupełnie dodatnio. Są to dzieła malarzy warszawskich, łódzkich i kaliskich. Większość z tych prac znana już jest publiczności w wystaw warszawskich. Wystawa — nowość dla Kalisza — zainteresowała bardzo tameczny ogół; publiczność tłumnie zwiedza ją i chętnie kupuje, na co prawdopodobnie wpływają także i niezbyt wysokie ceny. Wystawa trwać ma przez miesiąc.

#### Z Krakowa.

Dowiadujemy się z Krakowa, że na scenie tamiecznego teatru miejskiego w ciągu kilkunastu dni będzie wystawiona „Biała gołąbka“ Józefata Nowińskiego. W Warszawie sztuka ta wejdzie na scenę teatru Rozmaitości w jesieni r. b.



Portret dziecka

Nieznane dzieło Velasqueza



*Marya Łopuszańska: Obrońcy bogów.* Powieść na tle dawnych legend. Warszawa, 1899 r.—Zaranie naszego życia narodowego jest tak pełne dla badaczy, iż nie dziwić się wcale, że i p. Łopuszewska, znana już na polu powieściopisarstwa historycznego (*Na złotym szlaku*), również uległa pokusie odtworzenia jednego z okresów prastarych, a mianowicie z czasów Bolesława Chrobrego. Autorka swój utwór nazwała powieścią, dla mnie wszakże jest to właściwie studjum na tle polskiego folkloru i archeologii dziejów naszych, z małą domieszką wskazówek historycznych; studjum opracowane szczerze i sumiennie, w postaci szeregu obrazów w stylu panoramowym, sama zaś bajka powieściowa jest tu raczej dodana, w dość luźnych zresztą obrazach, niby omasta do suchej dla „przeciętnego czytelnika“ osnowy archeologicznej. „Obrońcy bogów“ to ostatni kapłani pogaństwa na Łysej Górze, których w powieści widzimy nie tyle walczącymi, ile konającymi; walka szersza, walka ludu jest już właściwie na długim planie; ta ostatnia, jak wiemy, rozwinęła się w kilka lat potem, lecz już na innym gruncie. Wobec widocznej rezerwy w użytkowaniu materiału rzeczowego i artystycznego, cała akcja przedstawia się mimowoli jakby w zarodku, osoby zaś w niej występujące, z wyjątkiem Karla Rokitki, szkieletowato, że się tak wyrażę. Wobec tego nie mamy tu ani tak silnego potoku uczuć religijnych, jak to widzimy w „Pojacie“ Bernatowicza, ani też tak wysoce artystycznych, głęboko odczuty obrazów obyczajowych, z których nie jeden sam w sobie stanowi poemat, jak w „Luboniach“ i „Masławie“ J. I. Kraszewskiego. Wobec tak szeroko rozwiniętej techniki powieści historycznej u nas, wobec tego, że znamy już utwory pokrowne wysokiej wartości (Sienkiewicz), oraz wobec tego, że autorka złożyła niewątpliwy dowód talentu w „Złotym szlaku“, pozwalamy sobie mniemać, że „Obrońcy bogów“ są tylko próbą w kierunku dociekań prastarych czasów, i że autorka w dalszym ciągu przedstawi nam rzecz nierównie pełniejszą. Jeszcze jedno. Każda epoka posiada swój język, słuszną więc rzecz, iż w „Obrońcach bogów“ autorka posługuje się językiem archaicznym. Pozwalam sobie jednak zwrócić uwagę, że nie każdy wyraz należy uważać za archaizm, tak np. użycie wyraża „kosa“ w znaczeniu „warkocza“, albo „pomilujcie“, „w tem też rzecz“ i t. p.—jest, moim zdaniem, zwykłym błędem języka „dzisiejszego.“

K. P. Rewera.

*Album sztuki polskiej*, ułożony na podstawie zeszłorocznej „wystawy retrospektywnej“, jest ostatnią nowością naszego, niezbyt bogatego wydawnictwa artystycznego. Ukazał się dotychczas zeszyt pierwszy, będący początkiem całości, zakrojonej na szerszą skalę. Nakładu dokonała drukarnia Laskauera i Babickiego, oraz zakład fotochemigraficzny Wierzbickiego i S-ki, kierownictwa zaś artystyczno-redakcyjnego podjął się znany i utalentowany malarz, a zarazem literat i gruntowny znawca przeszłości naszej sztuki, mianowicie pan Henryk Piątkowski. W krótko i jasno napisanym wstępie objaśnia nas p. Piątkowski, jakim jest cel i zadanie wydawnictwa. Zadaniem tem jest więc przedewszystkiem—i słusznie—strona artystyczna, i to o tyle, o ile ku temu celowi zeszłoroczna wystawa retrospektywna posłużyć może. Wystawa ta, choć nader ciekawa, a przytem pouczająca, miała jednak przedewszystkiem charakter artystyczny, bez zbyt widocznego historycznego ciągu, któryby wykazywał, że tak powiemy: pedagogicznie—początek i stopniowy rozwój naszego malarstwa. Żądanie więc, aby wydawnictwo, na tej podjęte i przeprowadzone zasadzie, miało przedewszystkiem charakter pouczający, jest co najmniej niewłaściwym, obniżyłoby to bowiem i zepchnęło na drugi plan cel jego główny, t. j. właśnie artystyczny. Zresztą inteligentny czytelnik stronę tę pouczającą odnajdzie bez trudu, a to tem łatwiej, że każda reprodukcja obrazu opatrzona jest treściwym, ale wyczerpującym objaśnieniem. Wydawnictwo zatem, tak podjęte i cel swój wyraźnie w przedmowie określające, wolno sądzić tylko według jego artystycznej wartości, która jest niezaprzeczenie pierwszorzędą. Reprodukcje, dające nam dzieła sztuki dawniejszej, zachowały wybornie archaiczyny ich charakter, jak Siemiganowskiego portrety króla Jana III-go i żony jego Maryi Kazimiery, Chodowieckiego „Menuet w ogrodzie“, Aleksandra Orłowskiego—portret księcia de Ligne, lub ciekawy portret hr. Ossolińskiego, malowany przez króla Stanisława Leszczyńskiego. Może być, że ton ogólny niektórych reprodukcji wyszedł nieco za ciemno, co by reprodukcjom starszych rzeczy zarzucić można. Błędu tego łatwo zresztą uniknąć w dalszych zeszytach przez mniej silne podłożenie farby pod siatkówkę fotochemigraficzną. Dobrze i dokładnie wyszły dwie reprodukcje z Matejki („Kazanie Skargi“ i „Zawieszenie dzwonu“), wierne w charakterze są J. P. Norblina „Widok Łazienek“ i Marcina Zaleskiego „Plac Zygmunta“ Najpiękniej jednak, z wielką siłą i wiernością wyszły: „Studjum koni normandzkich“, podług akwareli znakomitego Piotra Michałowskiego, do niedawna mało ogółowi znanego i nie dość cenionego malarza, „Wypadek w drodze“ zmarłego przedewszystkiem jednak wspaniała reprodukcja z portretu Henryka Rodakowskiego, będącego podobno ostatnią pracą znakomitego artysty. Ogólna liczba reprodukcji, z których każda jest umiejętnie wybrana pod względem charakterystyki odpowiedniego malarza, dochodzi do pokażnej liczby 20-u w jednym zeszycie. Techniczna strona wydawnictwa nie ustępuje artystycznej, druk bowiem jest wzorowy, a papier (podobno z Anglii sprowadzony), jakiego bodaj trudno znaleźć w innych podobnych wydaniach.

*Poczyć Janina.* Kijów. Str. 147, właściwie 76 i mniej jeszcze; reszta to olbrzymie dodatki prozą, przypiski i epilogi.—Curiosum, szkoda, że nieciekawe. Z początku „poeta“ (!) opłakuje jakąś Sylwią, potem idzie pastwienie się nad podaniami

ludowemi („Zosine jagódki“) i kazanie rymowane p. t. „Fatum“ o niezłej zresztą dążności. Najkolosalniejszy jest „Wypadek na kolei żelaznej“ (Epigramat na dzieło d-ra Heckela: „Dzieje utworzenia przyrody“), 3-stronicowy epigramat. Jedzie poezya na Pegazie i zwolennik darwinizmu w pociągu, krzyczący: „Hej, na stronę, poeci; jadą apostołowie nauki Darwina!“ Poezja chce uciekać, ale Pegaz kopytami po relsach uderzył, pociąg spadł w przepaść, a „co się działo w przepaści, opowiedzieć trudno...“ „Ale Pegaz znów uniósł poezję cudną, która lata jak przedtem swobodnie, wysoko, iż zaledwie ją bystre może dojrzeć oko.“ Wielki poemat p. t. „Rozum i mądrość“ poczyną się tak:

„Na nowożytnej nauk i wiedzy stolicy,  
Wzniesionej z analizów materyjalizmu,  
Dankiem koryfeuszów tej pojęć dziedziny,  
Zasiadł Rozum w koronie z cieni fatalizmu.“

Następuje zabawny początek świata i opis—pierwszego jajka, z którego wyskoczył mały Adas i nieduża Ewa (wszystko z towarzyszeniem niedźwiedziego mruka na Darwina). Uf, przeczytałem kilkadziesiąt stron niesłychanych „wierszy.“ dla których określenia w słowniku naszym braknie wyrazu, a zakończonych olbrzymim dodatkiem prozy, zawierającym potworności naukowe. Wierzyć się nie chce, by równie nieudolny obskurantyzm istnieć mógł dziś u nas. Są chwile w życiu—dla recenzenta straszne.

J. M.

*G. Pizzighelli: Wstęp do fotografii.* PP. Władysław Skłodowski i Stanisław Szalay podjęli bardzo ważne zadanie przygotowania w języku polskim podręcznika do fotografii. W tym celu wybrali jedno z najlepszych i najprzystępniejszych jednocześnie dzieł w tym kierunku i spolszczyli je, wprowadzając wiele zmian, które wyszły na korzyść dziełka. Mamy więc nareszcie podręcznik do fotografii, napisany ze znajomością rzeczy i, co również jest rzeczą wagi pierwszorzędnej, ze znajomością języka naszego. Autorowie zaznaczają, że przerabiając dziełko niniejsze do użytku naszej publiczności, starali się ile możności o polskie nazwy techniczne, unikając jednocześnie kucia wyrazów nieprzyjemnych dla ucha i niezgodnych z duchem języka. W dziełku tem, które niewątpliwie zajmie miejsce wydatne w bibliotece każdego amatora-fotografa, znajdujemy, oprócz podstaw naukowych fotografii, wyłożonych gruntownie i przystępnie zarazem, zbiór wskazówek, jak należy postępować przy zasadniczych czynnościach fotograficznych. Podnieść również należy zewnętrzną szatę wydawnictwa, nader estetyczną. W. K.

## Bibliografia,

- |   |     |
|---|-----|
| KALLENBACH JÓZEF, prof. uniw. Fryb. Wybór listów Adama Mickiewicza. Kraków.   | 180 |
| KOEHLER KLEMENS dr. Dawne cechy i bractwa strzeleckie. Rzecznictwo na danych o cechach i o bractwie strzeleckim w Kościanie. Z 15 rycinami. Poznań. | 180 |
| KRASZEWSKI J. I. Miód kasztelański. Komedia kontuszowa w pięciu aktach prozą. Wydanie drugie z przedmową Piotra Chmielowskiego. Kijów.              | —30 |
| KRUKOWSKI JÓZEF ks. Przewodnik praktyczny do nauczania katechizmu dzieci III i IV kl. szkół ludowych w Galicji. Nowe poprawione wydanie. Kraków.    | 150 |
| KUNCEWICZ IZYDOR. W spółności małżeńskej. Nowela. Lwów.   | —75 |
| ŁOPUSZAŃSKA MARYA. Obrońcy bogów. Powieść na tle dawnych legend.  | —80 |





## ODPOWIEDZI.

Sz. Pani Grab. Była to pomyłka druku, którą niniejszem prostujemy: Nazwisko wielbego Misyonarza brzmi *Bezym*, nie *Bezym*.

Muza Quouqua. Chyba to nie Muza dyktowała Muzie te wiersze. Są gładkie, ale bardzo pospolite w treści i formie.

Abituryent w S. Próby niezłe, ale należy jeszcze dużo pracować i nie śpieszyć się z drukiem.

P. Ludwika B. Wiersz poprawny, ale niezawierający nic nowego.

P. K. R. Drukowane nie będzie.

Ninie Orzi-Orzi. Wiersze słabe.

P. Jan Sz. w Krakowie. Wiersze Pańskie należą do utworów przeciętnych. Podobnych rzeczy odbiera redakcja całe setki. (Sic!)

P. Czesław Lub. Nie.

P. T. P. W. Wiersze słabe. Rytm kuleje, rymy pospolite. Motyw wymaga większego pogłębienia.

P. Floryan Znamiecki. Wiersze nie złe, ale brak im wykończenia; więcej tam wyrazów, niżeli tego wymaga potrzeba; należy się skupiać.

P. Kr. w Galicyi. Mamy w tece jeszcze kilka artykułów o tej kwestyi; wskutek tego praca Pańska drukowaną nie będzie.

P. Wiktor Lubicz. Wiersze nie okazują wybitnego talentu.

P. Stanisławie. W koszu.

P. J. Z. Biblioteka ta, o ile wiemy, niema numerów porządkowych.

1000. Można pisać, ale dla siebie.

P. Jan P. Sonety drukowane nie będą.

XXX. Nie.

Di. Nie.

Mańka Krakowlanka. W wierszach Pani jest dużo szczeroci i uczucia, ale forma pozostawia wiele do życzenia. Wiersze są nierówne, a rymy pospolite.

P. K. R. Wierszyk niezły w pomysłach, forma jednak szwankuje. Porównania są niezbyt szczęśliwie dobrane.

I oto róża blada, jak lilija,

Zwolna się krwawym oblewa rumieńcem,

Zawiądy listek po listku rozwija,

Nad nią ulata woń, jak nad róż wieńcem...

Że z róży ulata woń róży, to rzecz tak prosta, że niema co kłaść na to nacisku przez porównywanie z wonią wieńca róż. Trudność dobrania rymu zniechęciła pana do *tautologii*, i to zepsuło strofę.

Panu D. Fub. Do „curiosów“ wiersza Pańskiego nie zaliczymy; na to jest za poprawny. Niestety, innych zalet ponad to nie posiada.

P. Mirosław Cz. Ładna kaligrafia nie zastąpi talentu.

U—yn. Artykuły, o które Pan zapytuje, zostały przerwane z powodu choroby autora.—Otwock uważany jest przez lekarza za bardzo dobre miejsce pobytu dla piersiowych. Ks. D. w tej chwili zajęty jest innemi pracami.

P. M. M. M. Wiersze Pańskie są zbiorem

dźwięcznych wyrazów, ułożonych w rytmiczne, ale banalne frazesy.

P. Annie Jad. B. W wierszach Pani znać łatwość rymowania, chociaż z drugiej strony zdaje się Pani nie troszczyć zbytecznie o dobór końcówek gdyż cały prawie utwór pisany jest t. zw. częstochowskimi rymami (rozwiwny—śpiwny; zadumany—rozszemrany; złocisty—przejrzysty). Tak dziś rymować niewolno.

Sen—to. Proza nastrojowa należy do najtrudniejszych rodzajów literatury. „Noc majowa“ daleką jest od doskonałości.

P. A. G. w Warszawie. „Wyjechał“ drukowane nie będzie. Jest to niezłe wypracowanie, ale nie utwór literacki.

Alka z Cielęcina. List Sz. Pani świadczy, że autorka jego jest osobą inteligentną; wiersz jednak, dołączony do niego, zdradza brak znajomości elementarnych zasad poetyki. Rytm kuleje, rymy są banalne, a całość niezadarna.

O, pięknym że jesteś, ja też wiem coś o tem,  
Twe włosy jasne przeplatane złotem,  
Twe oczy—węgle, lubię ich w skrytości,  
One jednak nade mną nie mają litości!

Co to znaczy „włosy przeplatane złotem“? Czy ukochany nosi, obyczajem XVI wieku, złotą siatkę na głowie? Mówiąc o oczach, nie można powiedzieć lubię *ich*, lecz: lubię je w skrytości. W dalszym ciągu rymuje pani: na mnie—rzewnie, przyznasz—pytasz dla mnie—pokornie, kornie—wiernie. To woła o pomstę do Apollina!

P. J. Mr. „Stare tony“—stare myśli! Do kosza.

Sz. P. Adam Stala w Smonowicach. Chyliczki przez Piaseczno. O warunkach poinformuje zarząd szkoły.

Synowi Józefa w Antoniszkach. Pański przyjaciel, Bolesław L. (Lot), przysłał nam wiersz bardzo dobry, szkoda tylko, że *przepisany dosłownie* z Sielanki Szymona Szymonowicza. „Oczekiwanie panny na narzeczonego“ jest dosłownem powtórzeniem początku Sielanki XII p. t. „Kołaczce.“ Nie wiemy, czy Pan i Pański doradca o tem wiedzieli; jeżeli nie, to dziwny się bardzo takiej ignorancji, bo Szymonowicz należy do naszych najwybitniejszych poetów. Niech Pan zwróci uwagę swemu przyjacielowi, że za przywłaszczenie sobie cudzego utworu, choćby niezjącego autora, grozi kara kryminalna. Prosimy o zaniechanie wszelkiej dalszej korespondencji z nami. Czy to była mistyfikacja, czy świadoma chęć popelnienia plagiatu, zawsze była rzecz nieprzyzwoita.

P. Janusz Nałęcz. Nie.

P. S. Keller. Drugi tom albumu p. Dembego jeszcze z druku nie wyszedł.

P. Wiktor. K. w Łodzi. Nie.

P. Adolf R. w Sosnowcu. Podobnej szkoły nie znamy.

## OD REDAKCYI.

Każdy prenumerator „Tygodnika Ilustrowanego“ w r. b. otrzyma

bez żadnej dopłaty co miesiąc tom

*Dzieł H. Sienkiewicza,*

czyli **rocznie 12 tomów.**

Tomy I, II, III, IV i V Pism H. SIENKIEWICZA, zawierające nowele: „SZKICE WĘGLEM“, „JANKO MUZYKANT“, „STARY SŁUGA“, „HANIA“, „LISTY Z PODRÓŻY DO AMERYKI“ i „SZKICE AMERYKAŃSKIE“, otrzymali już wszyscy prenumerotorowie „Tygodnika.“

Koszt oprawy 12 tomów rs. 1 kop. 80, w tym stosunku na oprawę 3 tomów można nadsyłać kop. 45, na oprawę 6 tomów kop. 90.

Początek „KRZYŻAKÓW“ do Nowego Roku 1899, 90 kop.

Cena ozdoby okładki na komplet półroczny „Tygodnika Ilustrowanego“ rub. 1, przesyłka okładki kop. 35, przesyłka 2 okładek kop. 50.

## Nadesłane.

NAKLAD GEBETHNERA i WOLFFA  
IGNACY MATUSZEWSKI  
„SWOI I OBCY“  
(Zarysy literacko-estetyczne).

TREŚĆ: Subiektywizm w krytyce.—Bolesław Prus.—Henryk Sienkiewicz.—Prus i Sienkiewicz.—Mistyka Słowackiego.—Genoza Eliot w „Anhellim“ Słowackiego.—Słowacki i Shelley.—Byron i wpływ jego na literaturę polską etc., etc. (str. 512)

Cena rs. 2.

*Dr Wł. Maleszewski*  
Asystent Kliniki chorób wewnętrznych Uniwersytetu Jagiellońskiego, ordynuje  
**w Karlsbadzie,**  
Hotel Goldener Schwan.

## POLECA:

C. ŁOPACIŃSKA  
Wierzbowa 6,  
(Hotel Angielski).

**Halki** jedwabne,  
**Woolki** jedw. fantazyjne  
**Korony,**  
**Hafty,**  
**Wstążki,**  
**Paski,**

Towary norymberskie.

*J. ROKICKI i S-ka*

Warszawa, Nowy-Swiat 53.

Główny skład wyrobów gumowych poleca: WANNY (Toby), BIDETY gumowe podróżne, PELERYNY od rubli 3, PŁASZCZE od rubli 6 nieprzemakalne, POŃCZOCHY elastyczne na rozdęcie żył i puchnięcie nóg. **NOWOŚĆ:** BUTY do kolan lekkie, ABSOLUTNIE NIEPRZEMAKALNE niezbędne dla WW. PP. inżynierów, techników, chemików, gospodarzy i do błotnych polowań. BUCIKI i PÓLBUCIKI LETNIE higieniczne. PUDŁA i PUDEŁKA firmowe do sukien i kapeluszy.

→ CENY FABRYCZNE ←

WAGON MEBLOWY PRZEPROWADZKI, OPAKOWANIE PRZECHOWANIE MEBLI. „SYRENA“ KRAK. PRZEDM. N° 38

M. MANKIELEWICZ  
GMACH TEATRU POD FILARAMI  
w Warszawie.  
Największa fabryka i najbogatszy w kraju magazyn wyrobów brylantowych, złotych i srebrnych. Wysyła na prowincję i za granicę. Przedmioty zamówione listownie, w razie gdyby się nie podobały, zamienia na inne bez żadnej straty.  
Towar wytworny, realne ceny.

SKŁADY WŁASNE  
DO  
PRZECHOWANIA  
MEBLI  
GARDE-MEUBLES  
13  
TRĘBACKA  
A. WRÓBLEWSKI i S<sup>KA</sup>